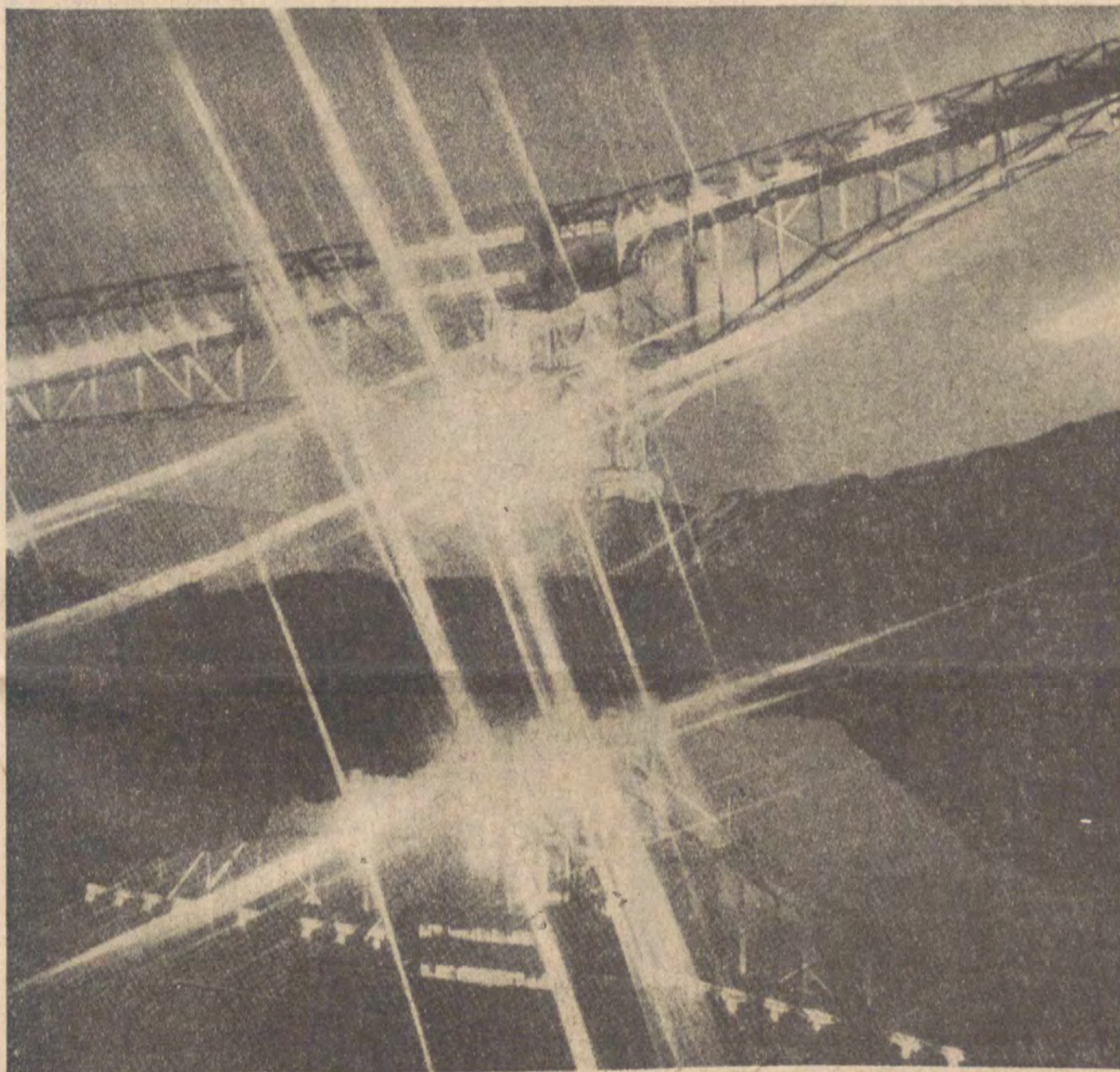


ODGŁOSY

► DLACZEGO MODERNIZM? — Ziemowit Skibiński ► JAK NAUCZYĆ SIĘ ANGIELSKIEGO Z „TRYLOGII” SIENKIEWICZA — Bogdan Krakowian
 ► UTOPIONE MARZENIA... — Konrad Turowski ► PIOTRKOWSKA WIDZIANA INACZEJ — Jerzy Wilmański ► ARCHEOLOGICZNE LATO — Jerzy
 AUGUSTYNIAK ► WSPOMNIENIA KARIN STANEK ► FELIETONY ► REPORTAŻE ► LISTY ► POLEMIKI



RYSZARD BINKOWSKI

ŚWIAT WYWRÓCONY DO GÓRY NOGAMI

I nagle zdarto tę zaskorupiałą powłokę marazmu, w której zasklepiało się przez lata otulone lasami miasteczko; utajony wśród chałup i wąskich uliczek zaśnieżony czas ruszył galopem, bo na tę ziemię nieznaną, zapomnianą przez Boga i ojców warszawskich, na ziemię kurzliwą, przeciętą sypliwymi, śródleśnymi drózkami, gdzie w piachu pieszcząca bieda, sycała się chudym życiem i lichymi pyrkami, grzybkami o czarnych lebkach, owiewaną wiatrem niosącym z Wisły zapach ryb wtargnęła energetyka i tam, gdzie z okienek leśnych chat myłło światłem kopających naftówek, beton i stal wbito w ospały, zielony pejzaż nadwiślański i dokonano się odwrócenie krajobrazu.

W dniu 1 kwietnia 1968 r. Komisja Planowania przy Radzie Ministrów podjęła decyzję o budowie w rejonie Kozienic elektrowni o mocy 1200 megawatów; w 1970 roku postanowiono elektrownię rozbudować do 1600 megawatów, a obecnie o dalsze dwa bloki o mocy 500 MW każdy.

Dalszy ciąg na str. 8

KRZYSZTOF POGORZELEC

JEDNAK SIĘ OBRACA?

(KORESPONDENCJA WŁASNA z RFN)

W drodze z portu lotniczego do centrum Hamburga każdy z przyjeżdżających musi się natknąć na ogromne super-hipper nowoczesne gmaszysko zbudowane z aluminium, niklu i szkła w kształcie litery „Y”,

w którym króluje wszechwładne, wszechogarniające, wszędzie obecne — na drogach, stacjach benzynowych, autostradach, salonach samochodziarskich i motelach, śmierzące na milę ropą naftową „Esso”. Któregoś dnia

szef prasowy „Esso” — pan Dürbaum wręczając mi najnowszy numer bardzo luksusowo wydawanego przez ten konserw magazynu „Oeldorado” wspo-

Dalszy ciąg na str. 5

LEKCJA LITERATURY

Szkicem o modernizmie rozpoczynamy cykl krótkich artykułów o literaturze dwudziestego wieku, pisanych z myślą o naszych młodych czytelnikach, tych zwłaszcza, którzy za osiem miesięcy przystąpią do egzaminów maturalnych, a potem ubiegając się będą o przyjęcie na studia wyższe. W tym, niewątpliwie przełomowym, momencie życia abiturientów, różne komisje poddadzą kontroli opanowanie przez nich obszernego materiału „języka polskiego”. Bez pomyślenia zdanego egzaminu z owego przedmiotu nie sposób uzyskać ani świadectwa dojrzałości, ani indeksu na bliską połowę z istniejących kierunków uniwersyteckich.

Intencją naszego przedsięwzięcia jest choć pomocnego towarzyszenia uczniom w ich całorocznej pracy nad literaturą współczesną. Mamy nadzieję, że jak podobne cykle w innych pismach kulturalnych, „Lekcja literatury” uczyni obecność z początkiem i prozą XX wieku łatwiejszą i że w pewnym stopniu przyczyni się do uzyskania tej formy umysłowej, jaka jest potrzebna w chwilach egzaminacyjnych sprawdzianów, tyle emocji i lęku budzących, gdy nie staje wiedzy, jasności w poglądach i własnego sądu.

A że tak właśnie często jeszcze bywa, poświadcza to praktyka dotychczasowa. Z niej wywodzą się alarmujące sygnały o brakach wiedzy o kulturze współczesnej, jak również postulaty zwiększenia wyboru publikacji popularnonaukowych w tym zakresie.

Rozumne rozeznanie w skomplikowanych zjawiskach ideowych i estetycznych, składających się na kulturę naszego stulecia, ma zresztą nie tylko swój aspekt praktyczny, wyznaczony przez interes człowieka, sposobiego się do dyplomu. Posiada przede wszystkim sens ogólniejszy, społeczny. Polega on na wysiłku doskonalenia się poprzez przezwyciężanie ciemności, chaosu i dezorientacji, przewyższanie postaw izolacyjnych i outsiderskich względem głównych nurtów życia na rzecz rozmaitych w formie postaw aktywnego uczestnictwa w kulturze, co jest jednym z najambitniejszych celów humanistycznych socjalizmu. Uczestnictwo to zaś nie jest przecież możliwe bez kultury tej rozumienia, bez świadomości jej źródeł, charakteru i celów.

Osiągnięcie powodzenia w tych zmaganiach duchowych w istocie jest ważniejsze niż zdanie jakiegoś egzaminu, niż uzyskanie formalnego poświadczenia swej zdolności fachowej, choć mniemania można, że obecny — na ogół liberalny — system oceniania w szkolnictwie gwarantuje powiędzenie wspomnianych osiągnięć nie zakłóconym awansem ku wyższemu szczeblom edukacji.

Wybór tematyki, która co dwa tygodnie rozważać będziemy w „Lekcji literatury”, uzasadniony jest wieloma względami. Literatura współczesna budzi najwyższe zainteresowania, ale też sprawia najwięcej trudności. Stawia bowiem wobec spraw, które niejednokrotnie nie dają się rozstrzygnąć przy użyciu rutyny i ustalonych sądów. Brakuje tuje popularnych, czytelnych przewodników po labiryncie nurtów filozoficznych, psychologicznych i społecznych, nie mówiąc już o literackich eksperymentach w zakresie techniki opowiadania, budowy utworu, metaforyki, jakie wypracował XX wiek. Oświecenie, romantyzm, pozytywizm wydają się prościej, głównie zresztą dlatego, że ujęte są monotematycznie — pod kątem politycznej służby literatury. Szereg tekstów, zwłaszcza z tzw. literatury uzupełniającej, nie doczekało się w ogóle, masowo dostępnych, komentarzy krytycznoliterackich. Tym pojęciem poświęcimy szczególną uwagę.

Następne szkice dotyczą utworów Dostojewskiego („Potulna”) i Conrada („Lord Jim”). Autor „Zbrodni i kary” tworzył w XIX wieku, lecz z uwagi na prekursorski charakter jego diagnoz psychologicznych i moralnych oraz odkrywcze formy pisarskie, cechy rozwinięte dopiero w naszym stuleciu, godny jest uwagi przy próbie opisania współczesnej prozy. W dalszym porządku ukażą się artykuły m. in. o twórczości: T. Manna, E. Hemingwaya, W. Faulknera, M. Szolochowa, o liryce rosyjskiej XX wieku, o poezji Skamandra i Awangardy, a także o wybranych utworach: Zeromskiego, Leśmiana, Nalkowskiej, Witkacego, Baczyńskiego, Borowskiego, Kruszkowskiego, Andrzejskiego, Różewicza, Szymborskiej, Herbera.

Oczekujemy opinii Czytelników, szczególnie zaś nauczycieli i uczniów, o naszych „lekcjach”.

Czytaj na str. 3

ANDRZEJ BLAJER

„ŹRÓDŁO Z”

Dzięki kontaktowi z Londynem utrzymywanemu przez cały okres działań wojennych, brytyjski oficer łącznikowy odleciał ostatnim samolotem R.A.F. zdążającym do Anglii. „Następnie — pisze Bertrand — zażądałem się ekipami „D” i „Z” przy czym jak zwykle musiałem o wszystkim pomyśleć sam i sam znaleźć wyjście. Ponieważ nie wiadomo było czy nieprzyjaciel nie zajmie całego terytorium Francji. Za jedyne możliwe rozwiązanie uznałem ewakuowanie wszystkich jak najszybciej drogą lotniczą do Afryki północnej. 23 czerwca otrzymałem do swojej dyspozycji trzy samoloty i następnego dnia rano obydwie ekipy wystartowały z Tuluzi w kierunku na Algier. Wszystko odbyło się pomyślnie.”

Po 8 lipca Bertrand przedstawił swemu szefowi propozycję dotyczące kontynuowania działalności — uruchomienia znów jego „fabryki” w nie okupowanej strefie. Nie wzbudziły one nadzwyczajnego entuzjazmu. Niemniej plan został przyjęty na wyłączną odpowiedzialność Bertranda, czego zresztą sam chciał. W dwa dni później wyruszył on na poszukiwanie nowego miejsca, gdzie można by podjąć pracę i umieścić archiwum, jakie im jeszcze pozostało. Wszystko to oczywiście w ścisłej konspiracji i pod nowym szyl-

dem. W ten sposób w historii całej akcji pojawił się „Cadix” — zamek Fouzes w pobliżu Nimes. Dzięki specjalnemu zezwoleniu gen. Weyganda, stał się on własnością służby wywiadu; Bertrand pod nazwiskiem Barsac podpisał u notariusza w Uzès akt kupna-sprzedaży z zachowaniem wszelkich formalności, przedstawiając wszelkie niezbędne dokumenty, oczywiście fałszywe. Miejsce było odludne, nic nie wskazywało na jakies poważniejsze trudności. Początkowo personel mieszkał w pobliskim Nimes (do dyspozycji były trzy samochody osobowe i dwa ciężarowe), zaś w styczniu 1941 roku uznano za przezorniejsze zainstalować się na stałe w „Cadix”. Bertrand starał się zachować niemal całkowitą niezależność, co zresztą było na rękę Vichy. Jego misja stwarzała bowiem znaczne ryzyko. Najwygodniej było o niej nie wiedzieć.

Ekipa „D” została sprowadzona z powrotem z Algieru bez najmniejszych trudności. Nieco inaczej przedstawiała się sprawa ekipy „Z”. Niektórzy z jej członków uważali, że zanim rozpoczną pracę „dla Francuzów” dla Vichy, powinni uzyskać

Dalszy ciąg na str. 4

Z PÓL DO ELEWATORA

Lato tego roku, gdy nadejść miały żniwa, było kapryśne: rosło wzdłuż i wszerz kraju. Czas zbiorów zbóż przesunął się na sierpień.

W połowie sierpnia windą wjechałem na ostatnie piętro elewatora w Męce pod Sieradzem, a potem jeszcze wyżej, na dach, wyszedłem w towarzystwie dyrektora Zakładów Zbożowo-Młynarskich w Zduńskiej Woli, mgr Jerzego Kozłowski.

Wysokość co najmniej dwunastu pięter. Patrzymy: oto ziemia, co wydała plony. Widać czerwone dachy Sieradza. Zduńska Wola za lasem. Uroda tej ziemi jak na dioniz: linie mendli żyta i owsa, zieleni łąk i pastwisk nadwarciarskich. Ziemia dyszy pracą i urodzajem.

Od autostrady E-12 skręcają w naszą stronę traktory z doczepami pełnymi ziarna: rzepaku i jęczmienia. Jadą tu aż z powiatów wieluńskiego, wieruszowskiego, łaskiego, sieradzkiego. Z tamtejszych PGR, spółdzielni produkcyjnych. Z gospodarstw indywidualnych. Ziarno łśni. Jest wilgotne.

Na dwóch wagach waży się wozy z ziarnem. Potem podjeżdżają pod rampę, tuż przy wysokich murach — i przez wielkie siła leci zboże do piwnic elewatora. Rozładunek trwa szybko.

Od najniższych pokładów elewatora — jakby okrętu wśród pól — zboże oczyszczone powędruje na wyższe pokłady, pozbywając się wilgoci w ciepłym prądzie suszarni. Pracuje tu suszarnia sprowadzona ze Związku Radzieckiego, jedyna tego typu w województwie. Suszy w ciągu doby tysiąc pięćset ton ziarna. Wstuchujemy się w rytmiczny loskot silników wytwarzających strumień jasnego ciepła, włączającego na piętra elewatora.

W ogromnych cembrowinach elewatora gromadzi się zboże — strumienie mąki i oleju. Pokarm dla ludzi i zwierząt. Mądra, zapobiegliwa praca.

Dyrektor mówi:

— Jest czas pracy nieustannej. Czas koncentracji sił ludzkich i transportu. Potrzebujemy ludzi. Zgłosili się studenci, urzędnicy. Pojechaliśmy do Miejskiego Ośrodka Sportu, Turystyki i Wypoczynku „Relaks” w Zduńskiej Woli i z basenów kąpielowych powyciągałem co silniejszych i chętnych do wysiłku. Pomagają

w akcji. Przecież nie za darmo. Zboże napływa dniem i nocą. Zwiększyły się bezpośrednie dostawy z pól chłopskich. Jeśli minimum trzy tony zboża zgromadzą rolnicy we wsi, na polu, jego transport do elewatora zapewniają gminne spółdzielnie.

Jesteśmy w ciągłym kontakcie z komitetami powiatowymi partii. Przy telefonach członkowie w naszej dystrykcji dyżurują na zmianę całą dobę. Samochody są w pogotowiu.

W tej części województwa mamy monopol na gromadzenie i suszenie zbóż. Z szesnastu punktów odbioru zbóż, pracują tylko te, w których działają suszarnie. Czy widział pan może suszarnie połowe? Zboże jest wilgotne i ciężkie. W Wieluniu trzeba było zboże popychać na taśmach transmisyjnych — maszyny wykonujące tę czynność nie poddały.

Dobrze przebiega akcja rzepakowa, przekroczono już punkt kulminacyjny. W tej akcji działamy na rzecz ośmiu powiatów. Wysuszony rzepak kierujemy do zakładów tłuszczowych. A mliśmy partie rzepaku mokrego jak gnoj. Można go było brać widłami.

W tegorocznych żniwach spiętrzył się napływ zbóż: jeszcze rzepak się sprząta, a już jęczmień, pszenica i żyto u wrót elewatorów.

Młyny nasze nie odpoczywają. Mamy duże zadania w produkcji sruły. W powiecie sieradzkim wzrosła hodowla trzody i bydła, które pochłaniają tony wartościowej mieszanki zbożowej. Wytwarzamy dwie trzecie produkcji sruły w województwie łódzkim.

Mgr Jerzy Kozłowski jest absolwentem Wydziału Ekonomicznego UŁ. Kieruje Zakładami Zbożowo-Młynarskimi w Zduńskiej Woli, w których skład wchodzi piętnaście jednostek — młyny, elewatory, magazyny. Ma ponadto dwie pasje: lekką atletykę i rzeźbę. Potrafi je łączyć harmonijnie. Był ongi mistrzem Polski juniorów w biegu na sto metrów. W konkursach dla amatorów plastyków zdobywał laury. Plastykę kilka funkcji społecznych. Najbardziej absorbuje go rola wiceprzewodniczącego Wojewódzkiej Federacji Sportu. Inicjuje, wizytuje, pracuje. To chyba sprawia, że dyrektor, który przekroczył zaledwie czterdziestkę, wygląda przynajmniej o dziesięć lat młodziej. Nie jest to babski komplement, chłopcy.

Schodzimy z dachu elewatora. Patrzymy na ten kolos z boku. Jest największym elewATOREM na Ziemi Łódzkiej. Jego przyrodni bracia są w Kutnie i Rogowie.

Na jednym pojemniku elewatora, jakby betonowej cembrowinie studni — u wierzchołka, napis: Franciszek. Tak go „ochrzcił” założca. To imię kierownika elewatora — Franciszka Iwaszkiewicza. Gdyśmy byli na górze, on udzielał informacji łódzkiej ekipie telewizyjnej. Dobiały nas jego ostatnie słowa: — Suche zboże może leżeć latami.

Oto wyjeżdża samochód załadowany jęczmieniem. Niedługo ten jęczmień tu poleży. Wyszuszy, powędruje na Śląsk, do browarów w Częstochowie, Rybniku. Będzie z niego piwo złoście w beczkach dojrzewało. Część

zbiorów jęczmienia przeznaczamy na kaszę, reszta idzie na srułę.

— A to co? — pytam.
— Sorgo! Zboże z drugiej półkuli — odpowiada dyrektor. Biorę kilka ziaren na ząb. Pożywe. Oplaca nam się sprowadzać sorgo zza oceanu. W Męce ujrzałem je po raz pierwszy.

W drodze powrotnej do bazy, w samo południe zapowiadające pogodę dni, dyrektor mówi o planach:

— Zduńska Wola staje się centrum przemysłu zbożowo-młynarskiego na Ziemi Łódzkiej. Powstanie tutaj, w sąsiedztwie zespołu młynów, duża hala remontowa oraz elewator. I przy tym: budynek socjalno-administracyjny. Dysponować będziemy bazą wytwarzającą funkcjonalne opakowania dla produktów mącznych. Zbudujemy płatkarnię owsa. Wprowadzimy pełną modernizację transportu wewnętrznego i zewnętrznego w naszych zakładach — znajdują u nas zastosowanie pneumatyczne cysterny do przewozu zboża i mąki.

Rozbudowę i modernizację Zakładów Zbożowo-Młynarskich w Zduńskiej Woli zakończymy w 1976 roku. Całość tego przedsięwzięcia pochłonie prawie sto milionów złotych — słyszę jeszcze dyrektora na coraz toczniejszej przed wjazdem do jego miasta autostradzie.

Tuż przed miastem dojrzały łan pszenicy swym jasnym lustrem jakby wypatrywał w przestrzeń zniwiarzy.

Miało się już właśnie pod jeśien...

FEЛИKS RAJ CZAK

„Proszę o głos”!

BEZ KUMOTERSTWA,

BEZ PROTEKCJI

I BEZ ŁASKI...

Szanowny Panie Redaktorze. Piszę ten list do Pana z nadzieją, że uda mi się zwrócić, poprzez Pana Poczynne Pismo, szczególną uwagę Ministerstwa Kultury i Sztuki na sprawę niezmiernie ważną — na sprawę współczesnej dramaturgii. Tej dramaturgii, która byłaby zwierciadłem osiągnięć i przemian społecznych naszego 30-lecia.

Wyraziłem się może nieścisłe — napisałem, że pragnę zwrócić szczególną uwagę Ministerstwa — otóż, powinienem napisać, że pragnę tę sprawę przedstawić na podstawie własnych autorskich doświadczeń, a nawet pokusić się o znalezienie możliwie rozsądnej drogi, by przed współczesną dramaturgią zapalić naprawdę zielone światła...

Jest faktem, że od szeregu lat prasa, radio, tv, jak również resort kultury, co trochę ronia gorzkie łyż, że polskiej sztuki współczesnej jak nie było tak nie ma — w każdym razie, że jest jej bardzo mało jak na kraj, który liczy sobie 34 miliony mieszkańców, posiada ok. 1200 członków ZLP i na terenie którego działa około 70 teatrów dramatycznych.

Powiedzmy sobie szczerze, Panie Redaktorze, że to biadolnienie jest słusne, bo przecież takie nazwiska jak Kruczkowski, Szaniawski, Różewicz, Mrozek, Grochowski, Bryll zaliczyć możemy już obecnie do klasyków polskiej dramaturgii. Co mamy dalej? Jeszcze kilka nazwisk i pustki. W tej pustce, w którymś tam roku pojawia się ktoś nowy — błysnie na chwilę większym lub mniejszym talentem, potem przeważnie ginie i pustka trwa nadal. A wcale nie musi trwać. Śmiem twierdzić, że mamy w kraju sporo ludzi, którzy gotowi byłiby pisać dla teatrów pod warunkiem zapewnienia im w rozsądnych granicach, szansy wystawienia sztuki na scenie jakiegokolwiek teatru w Polsce...

Jak te możliwości przedstawiają się obecnie, w jakiej sytuacji jest autor, który napisał sztukę i pragnie ją wystawić? Wiadomo, że najlepszym przykładem, w każdym razie najprawdziwszym, są własne doświadczenia. Przekazuję je Panu Redaktorowi, bo jestem głęboko przekonany, że mogą one być uogólnieniem przeżyć i doznań innych autorów, zarówno członków ZLP czy ZAIKS jak również młodych autorów stających pierwszymi krokami, którzy — równie lekkomyślnie jak ja — zapragnęli zmierzyć się z wymogami sceny, a mówiąc prawdę przebić się przez mur obojętności ludzkiej...

Jestem członkiem ZLP i ZAIKS. W swoim dorobku literackim mam dziewięć książek (proza), z tego cztery zalecone przez Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego do bibliotek szkolnych. Te ostatnie informacje, Panie Redaktorze, podaję tylko dlatego, by w Pana oczach podnieść rangę swych rozważań. Cztery książki zalecone do bibliotek dla młodzieży o czymś

tam przecież mówią, w każdym razie o umiejętności logicznego myślenia. Dla tych samych powodów podaję, że moje felietony satyryczne tłumaczono na: rosyjski, angielski, francuski, czeski, rumuński, niemiecki, włoski.

Otóż, mając ten dorobek zapragnę napisać coś dla teatru. Podejmując tę próbę pamiętałem (prasa, radio, tv), że brakuje nam rozrywki. Brak sztuki współczesnej, brak rozrywki — mierząc w te dwie zaniedbane dziedziny — zgodnie ze swoim usposobieniem i umiejętnością satyrycznego patrzania — napisałem komedię pt. „Teraska”. Kiedy trzymałem w ręku przepisany na czysto egzemplarz sztuki byłem podniecony i głęboko wzruszony. Spełniło się... Wciąż podniecony poszedłem ze sztuką do Agencji Teatralnej ZAIKS. Tam, bardzo miła pani, bardzo uprzejmie wyjaśniła, że aby mogła zatrzymać moje dzieło (słowa tej pani) w Agencji i częstować nim ewentualnych nabywców (przedstawicieli teatrów) moje dzieło musi mieć oficjalną (i dobrą) recenzję z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wciąż podniecony, Panie Redaktorze, z Hipotecznej udałem się na Krakowskie Przedmieście i tam, w pięknej siedzibie Ministra Kultury i Sztuki zostawiłem swoje dzieło. Tam również bardzo miła pani, bardzo uprzejmie poinformowała mnie, że recenzję otrzymam najdalej w ciągu miesiąca. Rzeczywiście, tak się stało. Otrzymałem recenzję wraz z listem przewodnim z dnia 24 lipca 1969 r. Znak L. dz. T. I. 610/19, w którym Ministerstwo informowało, mnie, że sztukę moją zatrzymuje w Bibliotece Zespołu do Spraw Teatru i Muzyki. Kiedy czytałem recenzję przekonałem się praktycznie, że włosy mogą jeżyć się na głowie również z przeogromnej radości. Recenzja pełna była samych superlatyw. Pan Redaktor pozwolił, że kilka z nich przytoczę: „Zabawny, interesujący utwór, wcale ostry obyczajowo, z dużą ilością dowcipu sytuacyjnego i słownego, wartko napisany, z dobrą pointą, a nade wszystko bynajmniej nie pozbawiony walorów scenicznych — zupełnie udana komedia obyczajowa na granicy farsy”, „Pointa tego utworu, zaskakująca i całkiem przez utwór nie przygotowana jest swego rodzaju majstersztykiem, jak rzadko w naszej dramaturgii dzisiejszej czyta się brawurowy stawiący wszystko na głowie finał!... Pod recenzją widniał podpis konsultanta Ministerstwa Kultury i Sztuki, samego Pana Doc. Stefana Treugutta. Ze szczęścia miałem łyż w oczach. Naprawdę, Panie Redaktorze, jak stary koń poplakalem się... Ta euforia szybko jednak minęła. Zaniósłem sztukę („Teraska”) do Agencji Teatralnej. Owsemem przyjął, podziwiał recenzję, mówił, że na komedię jest ogromne zapotrzebowanie i prosił, bym spokojnie czekał. Czekalem pół roku, rok, półtora, ale nic się nie działo. „Teraska” leżała sobie spokojnie w jakiejś tam szufladzie lub stała na jakimś tam półce.

Zniecierpliwilem się wreszcie i zacząłem sam chodzić z „Teraską”. Chodziłbym chyba jeszcze do dnia dzisiejszego, gdyby nie ulitował się nade mną Dyrektor Teatru Ziemi Łódzkiej, Pan Jan Perz, poszukujący dla swego teatru wciąż nowych nazwisk. Ulitował się nade mną nieopatrznie dla siebie, niepomny tej okoliczności, że nad poziomem naszej sceny, naszego życia kulturalnego czuwały krytycy. Otóż, następnego dnia po prapremierze „Teraski” (Teatr Ziemi Łódzkiej znalazł dla sztuki inny tytuł: „Altruistka”) jeden z łódzkich krytyków, nie będę wymieniał jego nazwiska, bo to człek skądinąd stateczny i poważny, odsądził sztukę od czci i wiary. W jego recenzji wszystko było złe i bardzo złe, a aktorem „słowa nie przechodziły przez usta”. Proszę zwrócić uwagę, Panie Redaktorze, że Pan Doc. Treugutt pisał same superlatywy, a ten krytyk tylko przychał z oburzenia. Zrozumiałe, że chociaż doświadczony gorzko, bardziej wierzyłem Panu Docentowi niż temu krytykowi — choćby dlatego, że to przecież dwa różne nazwiska. Mówiąc nawiasem „Altruistka” miała 80 spektakli i pobiła rekord frekwencji w sezonie teatralnym Teatru Ziemi Łódzkiej w roku 1972.

Wierząc bardziej doc. Treuguttowi, napisałem drugą komedię pt. „Mezalians”. Chciałem w „Mezaliansie”

przekazać, że dzięki nowemu ustrojowi zatarły się w naszym społeczeństwie różnice klasowe, środowiskowe i to mi się podobno udało, bo idąc drogą jak poprzednio, przelałem sztukę do Ministerstwa Kultury i Sztuki, a Pani Dr Bożena Frankowska recenzent Ministerstwa, te wartości w komedii znalazła. Znalazła i inne: „Także dlatego, że jest świetnie skonstruowana, ma wiele zabawnych sytuacji, dobry dialog i poprawny język. Dodatkowych zalet dostarcza współczesny temat, przeprowadzony w sposób dowcipny i nie pozbawiony dla nas moralu...” (pismo z dnia 20.IV.73. L. dz. T. I. 610/14).

Wydawałoby się, że nie można lepiej wystartować, ale prawda jest inna. „Mezalians” leży również w Agencji Teatralnej (drugi rok) a ja nie mam już odwagi pójść do dyrektora Perza, bo ten krytyk w Łodzi wciąż działa...

Panie Redaktorze, proszę wybaczyć mi ton żartobliwy, ale pragnę pana zapewnić, że wcale wesoło mi nie jest. To, co spowodowało napisanie tego listu — podkreślał to po raz drugi — to głębokie przekonanie, że w podobnej do mojej sytuacji jest wielu autorów usiłujących pisać dla sceny polskiej. Podejmują oni próby, piszą rzecz jedną, drugą, a potem zniechęceni brakiem czyjegokolwiek zainteresowania zaprzestają tej działalności uważając słusznie, że powieść czy opowiadanie mają większe szanse...

Jakie widzę możliwości działania na jakiej drodze można ludziom piszącym dla teatru pomóc. Ministerstwo Kultury i Sztuki jest w naszym kraju Mecenaszem Kultury. W możliwościach Ministerstwa leży spowodowanie, by teatry przed sztukami młodych autorów, początkujących w tej dziedzinie nie uciekały, nie kryły się w skorupę żółwia, by nie bały się ryzyka. Wreć przeciwnie, Panie Redaktorze, byłoby sprawą ze wszelkich miar pożądaną, by Ministerstwo podjęcie takiego ryzyka nałożyło na wszystkie teatry w Polsce, jako obowiązek. Teatr mniejszy czy większy gra w sezonie 5, 6, 8 sztuk — niech w tym repertuarze figuruje każdego roku (w każdym teatrze) jedna sztuka współczesnego autora. Skąd brać te sztuki? Między innymi z Agencji Teatralnej ZAIKS i Biblioteki Zespołu do Spraw Teatru i Muzyki Ministerstwa, które chyba nie zostały pomysłane jako archiwum. Ten obowiązek nałożony odpowiednim zarządzeniem czy instrukcją Ministerstwa i odpowiednio egzekwowany spełni stary postulat, który różne ośrodki w Polsce od lat bezskutecznie usiłują załatwić we własnym zakresie — powstanie w ten sposób OGÓLNOPOLSKI TEATR DEBIUTU DRAMATURGICZNEGO I SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ. Obowiązek, o który postuluje, nie koliduje wcale z całkowitą swobodą doboru repertuaru przez dyrektora teatru, po prostu każe mu on tylko nie zapominać o żywych, piszących dla teatru.

W Ogólnopolskim Teatrze Debiutu Dramaturgicznego i Sztuki Współczesnej będą mogli sprawdzić się nowi ludzie na platformie dużo korzystniejszej i społecznie zdrowszej — nie oni będą wysiadywać stołki w kluarach teatrów — teatry będą się rozglądać za nimi.

Ogólnopolski Teatr Debiutu Dramaturgicznego i Sztuki Współczesnej można powołać od jutra, bo stanowiąc go będą wszystkie teatry w Polsce. Dla przykładu, Teatr Powszechny w Łodzi zostanie Teatrem Powszechnym w Łodzi, ale w ramach nałożonych obowiązków zagra raz w roku sztukę współczesnego autora jako Ogólnopolski Teatr Debiutu Dramaturgicznego i Sztuki Współczesnej, co można nawet uwidocznić w plakacie teatralnym.

Chciałbym być dobrze zrozumianym, Panie Redaktorze. Nie piszę tego listu w obronie złych sztuk teatralnych, nie chodzi mi również o stwarzanie jakichś ciepłarnianych warunków dla początkujących dramatopisarzy, chodzi mi wyłącznie o umożliwienie ludziom najlepszej woli sprawdzenia się na scenie. Bez kumoterstwa, bez protekcji i bez łaski... Prosząc o życzliwość, Panie Redaktorze, dla mych rozważań, pozostaję z poważaniem

EDWARD KOPCZYŃSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYŃKOWSKI WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMANSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

Urodziła się 11 lutego 1904 roku w podlódzkim Zgierzu. Po ukończeniu studiów matematycznych w Uniwersytecie Jagiellońskim i przyrodniczych w Uniwersytecie Warszawskim — poświęciła się pracy pedagogicznej. W okresie międzywojennym była nauczycielką gimnazjalną. Z pracą tłumacza zetknęła się w czasie wojny. Rozpoczęła od przekładów rozpraw i esejów naukowych.

Po wojnie zadebiutowała przekładem „Dzieciństwa” Maksyma Gorkiego, które ukazało się drukiem w 1946 roku, nakładem — łódzkiego jeszcze wówczas — „Czytelnika”. Ambitna powieść Gorkiego spotkała się z ogromnym zainteresowaniem polskiego czytelnika, co sprawiło, że w latach 1949—1959 „Dzieciństwo” doczekało się siedmiu kolejnych wznowień. Bilaska znakomicie odwrażliwiając klimat powieści, rychło jako tłumaczka zdobyła rozgłos. W 1949 roku jury Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej bardzo wysoko oceniła ten debiut, wyróżniając właśnie jej przekład „Dzieciństwa”.

W 1952 roku przełożyła „Powieści i raskazy” Aleksandra Hercena, które zatytułowała: „Opowiadania” i opublikowała w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Ten sam rok przyniósł ze sobą także przekład „Wśród ludzi” Gorkiego (Książka i Wiedza), w latach 1953—1956 trzykrotnie wznowiany.

W 1954 roku przełożyła Bilaska ostatni tom trylogii wielkiego Rosjanina pt. „Moje uniwersytety”.

W 1956 roku „Dzieciństwo”, „Wśród ludzi” i „Moje uniwersytety” po raz pierwszy zostały scalone w PIW-owskiej edycji „Pism” Gorkiego, złożonej z szesnastu tomów pod redakcją Tadeusza Zabłudowskiego i ze wstępem Leona Kruczkowskiego.

W tej samej edycji ukazała się również, znakomicie przez Bilaskę przełożona, „Matka”. Powieść ta rychło weszła do kanonu szkolnej lektury,

co z kolei wpłynęło na jej wznowienie w roku 1957. Przekłady Krystyny Bilaskiej wy-

stera w roku 1929. Współczesny badacz recepcji Gorkiego w Polsce, Franciszek Sielicki, oceniając to tłum-



parły wcześniejsze próby spolszczenia powieści Gorkiego, jakie miały miejsce już w okresie dwudziestolecia międzywojennego, kiedy to wydano w Polsce zarówno trylogię autobiograficzną pisarza, jak i „Matkę”. Pierwszy przekład „Dzieciństwa” był bowiem dziełem Wacława Pawłowskiego i ukazał się w roku 1922 nakładem wydawnictwa „Ultima Thule”, drugie zaś wydanie — w firmie Ki-

maczenie stwierdził, że wypadło ono „na ogół poprawnie, z tym, że tłumacz niepotrzebnie zostawił długie zdania i okresy odpowiednio do oryginału (czego nie mamy np. we współczesnym przekładzie Krystyny Bilaskiej)”. (F. Sielicki: Maksym Gorki w kręgu spraw polskich. Warszawa 1971, s. 84).

W latach 1936—1937 Towarzystwo Wydawnicze „Rój” opublikowało po-

została część tryptyku: drugą pt. „U obcych” w tłumaczeniu Haliny Pilichowskiej (z tekstami piosenek w przekładzie Lucjana Szenwaldy) oraz trzecią — „Moje uniwersytety”, podpisaną znanym pseudonimem zbiorowym translatorów „Roju” — „dr J. P. Zajęczkowski”.

Również „Matka”, najpopularniejsza przed wojną w środowiskach lewicowej społecznej powieść Gorkiego, wydana została w tamtych czasach w przekładzie polskim Marceliego Tarnowskiego, nakładem Instytutu Wydawniczego „Renaissance” w roku 1929. Tłumaczenie to oparte było jednak na jednej z wczesnych redakcji tekstu, redakcji rozwiękłej, która przeszła pod piórem Gorkiego szereg zmian, zanim uzyskała postać kanoniczną w r. 1922.

W pierwszych latach wojny nad przekładem „Matki” pracowała Halina Górska. Ukazał się on w 1946 roku, zredagowany ostatecznie przez Adama Ważyka. Seweryn Pollak — zestawiając tłumaczenie Bilaskiej z przekładem Górskiej (obecnie zresztą wznowianym) — uznał, że „tłumaczenie Bilaskiej niewątpliwie nad poprzednim górze swobodniejszym, nie tak uległym oryginalowi tokiem zdań, co w konsekwencji daje, pomimo pozorów, większe zbliżenie do tekstu oryginalnego” i przy okazji przypomniał, że Bilaska „miała już w pracy nad Gorkim tak świetne osiągnięcia, jak przekład „Dzieciństwa”, „Wśród ludzi” i „Moich uniwersytetów”. („Rocznik Literacki 1956”, Warszawa 1957, s. 494).

W 1960 roku nakładem PIW wydany został przekład „Sanatorium Arktur”, słynnej powieści Konstantego Fiedina, przypominającej „Czarodziejską górę” Tomasza Manna. Do dziś natomiast nie udało się Bilaskiej opublikować, przetłumaczonych jeszcze w 1955 roku, esejów Fiedina.

Parając się przekładami z wielkiej literatury rosyjskiej, Bilaska pracowała jednocześnie jako redaktor-tłumacz

w łódzkim Studio Opracowań Filmów. Pisała tu m. in. na podstawie obcojęzycznego tekstu zsynchronizowane scenariusze do filmów dubingowanych, spikerki do filmów popularnonaukowych itp.

W 1961 roku za całokształt pracy przekładowej otrzymała Złotą Odznakę TPPR, a w 1964 roku Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Pozostała wierna Łodzi. Należała do nielicznego grona pisarzy, którzy związani z naszym miastem w latach jego „stoleczności”, nie opuścili go i w latach „chudszych”. Była jednym z pierwszych tłumaczy postępowej literatury radzieckiej, obficie wydawanej zwłaszcza w pierwszym dziesięcioleciu Polski Ludowej, gdy toczono pamiętne boje o realizm, szukano tradycji rewolucyjnych i demokratycznych w wieku XIX, a wzorów w literaturze radzieckiej. Wśród tego ogromu prac literackich, jakiego wówczas na tym polu dokonano, dorobek Krystyny Bilaskiej, obejmujący szesć pokazywanych tomów wartościowej prozy rosyjskiej, ostał się w kulturze polskiej, jako trwały wkład w trudne, a przecież szlachetne i pożyteczne dzieło zbliżania różnojęzycznych literatur.

Krystyna Bilaska mieszka w domu Związku Literatów Polskich. Moi rówieśnicy pamiętają ją jeszcze jako właścicielkę słiznego szarego kotka, który całymi dniami bawił się na najpiękniejszej w całym gmachu ukwieconym balkonie. Dla nas, rozwrzeszczanej bandy dzieciaków, którzyśmy nie zdążyli się jeszcze w owym czasie zetknąć z pracą przekładową pani Krystyny — była ona wtedy przede wszystkim sympatyczna, zawsze życzliwa i zawsze uśmiechnięta „pania z kotkiem”. Życzliwa i pogodna pozostała do dziś. Mimo choroby chętnie dzieli się swymi spostrzeżeniami, swymi doświadczeniami i swą wiedzą.

DOROTA CHRÓSCIELEWSKA

DLACZEGO MODERNIZM?

LEKCYJA LITERATURY

Opuszczając ławę szkoły średniej wynosi się najczęściej przekonanie, iż epoka modernizmu polskiego — rozumiana w piśmiennictwie przedmiotowo jako „ogół nowych kierunków w literaturze i sztuce oraz warunkujących je stanowisk światopoglądowych, występujących w latach 1890—1910” (K. Wyka) — była okresem schyłkowym, którego najdotkliwszym wyrazem mają być „Koniec wieku” Przerwy-Tetmajera oraz obraz społeczeństwa polskiego, zawarty w „Weselu” Wyspiańskiego. Kilka obiegowych określeń (sztuka dla sztuki, mistycyzm, absolut duszy, nastrojowość, symbolizm, chłopomania, dekadentyzm, egzaneria) — i to zazwyczaj w ciemnym zabarwieniu — ma spełniać rolę w miarę kompetentnej charakterystyki interesującego nas okresu. Nie negując znaczenia i trafności owych terminów i hasel, nie możemy jednak przy obecnym stanie wiedzy ośmielić się tylko przy nich, jako zasadniczych wyznacznikach światopoglądowych modernizmu. Im większa perspektywa historyczna, im dalej posunięta specjalizacja badań nad tą epoką, tym przełom stuleci rysuje się nam coraz bardziej w swej złożoności, wielowarstwowości; a z pokładów tych wpływa wszakże wiele źródeł myśli i sztuki współczesnej.

Nie bez powodu więc w ostatnim plebiscyście nastąpiło głębsze zainteresowanie modernizmem nie tylko ze strony badaczy-historyków literatury, lecz również poetów, krytyków i teoretyków sztuki. Okres ten, zwany szybko tempo przemian w dwudziestowiecznej sztuce i w gustach jej odbiorców, dość długo czekał na rehabilitację. W dwudziestolecie międzywojennym przedstawiciele zarówno kierunków awangardowych, jak i umiarkowanych (np. poeci z kręgu Skamandra) odznegliwali się od dotychczasowej młodopolskiej, sądząc, iż odwracają one uwagę twórcy i odbiorcy od rzeczywistości, co miało się równać ucieczce od trudnych, acz palących spraw życia codziennego. W pierwszych latach po drugiej wojnie światowej, zwłaszcza w okresie 1949—1955, dwudziestolecie realizm krytycyzmu stanowili dla wielu pisarzy jedyną sensowną tradycję godną kontynuacji; natomiast złożone bogactwo modernizmu, nie wyłączając jego lewicowych nurtów, traktowano nader jednostronnie, widząc w kierunkach składających się nań przejaw kryzysu kultury mieszczańskiej. Przesilenie owo miało być jakoby wynikiem zaostrej sytuacji społecznej, w jakim celu czyni i pracuje, skoro nie ma, w jakim celu czyni i pracuje, skoro nie ma, i nie zostawia po sobie świadectwa obecności w dziełach. Ale z tego stanowiska została przeprowadzona krytyka głównych zębów ideologii pozytywistycznej nie u zarania modernizmu, lecz u jego schyłku, i to przez filozofa, teoretyka kultury, krytyka literackiego, który wkrótce po opublikowaniu manifestu modernistycznego stał się likwidatorem nie tylko ideowo-moralnych treści pozytywizmu, lecz również i dekadencjalnych modernizmu. Był nim Stanisław Leopold Brzozowski (1878—1911).

Grunt pod generała rozprawy z pozytywizmem przygotowywano od lat osiemdziesiątych, kiedy to na ziemi polskiej zaczęły przenikać nowe idee z Zachodu,

szczególnie z Francji. Nie kwestionując znaczenia obcych inspiracji, z naciskiem należy podkreślić, iż było wiele rodzimych czynników, które wywarły niemały wpływ na kształtowanie się specyficznego oblicza Młodej Polski. O ile na Zachodzie mieszczaństwo znalazło się w stadium kryzysowym, o tyle na ziemiach polskich burżuazja przemysłowa i rzemieślnicza stanowiła jeszcze nikiel procent ogółu ludności; nie wytworzyła ona — w przeciwieństwie do zachodniej — odrębnej, własnej kultury, co było skutkiem jej młodości historycznej, bowiem gwałtownie zaczęła rozwijać swoje szeregi dopiero w erze powojennej. Modernizm zachodni był porą mierzchu wartości kultury mieszczańskiej, polski natomiast stanowił filozoficzno-artystyczne odbicie sytuacji psychospołecznej ludzi „wyzuconych z siłoch historii” a więc tych, którzy nie potrafili znaleźć dla siebie miejsca w nowych warunkach cywilizacyjnych i politycznych. Mimo że różnice, godzi się wszakże mieć na uwadze, iż modernizm był w pierwszym rzędzie kosmopolitycznym zjawiskiem kulturowym. Z różnych podgłębli wyrastały te same rośliny.

Totalno-optimistycznej wizji przyszłości, kreowanej piorami pozytywistów, zaczęto przeciwstawiać pesymistyczną treść teraźniejszości, wewnętrzne rozdarcie jednostki. „W uczuciowości polskiego modernizmu najważniejszą warstwą motywacji artystycznej staje się przeto świadomość bankructwa wszelkich wierzeń i ideałów.” (K. Wyka) „Grunt się usuwa pod nogami — spadamy gdzieś.” — pisał w młodzieńczej, pierwszej swej powieści „Wiry” (1904), Brzozowski. Nietzsche głosił tragiczną prawdę, że Bóg umarł, a ludzkość została rzucona na pastwę losu, któremu nie sprosta człowieczy rozum. Ow braki idei wiódł, poczucie pustki duchowej przesądzały o dekadencjalnych nastrojach wśród modernistów, aczkolwiek nie wszystkich. Ta wszechogarniająca niechęć nie mogła wytrzymać dłużej próby czasu, gdyż rzeczywistość społeczna (rozwoju ruchu socjalistycznego, zaostrenie konfliktów społecznych, zbliżająca się rewolucja w Rosji i Królestwie) domagała się konkretnej, wyraziście i jednocześnie bardziej optimistycznej formy duchowej. Zatem punktem wyjścia mogłaby być jedynie postawiona diagnoza chorób epoki.

Wacław Nalkowski (1851—1911), geograf i publicysta, ojciec Zofii, w 1893 roku wspólnie z Marią Komornicką (1866—1894) i Cezarym Jellentą (1861—1935) wydał książkę pt. „Poroczy”, w której zamieszczył artykuł „Poroczy w ewolucji psychicznej i troglodyty”. W szkicu tym, piętym tonem sarkastyczno-humorystycznym, przeprowadził swobodnie, bo pełen tragicznego humoru, podział współczesnego mu społeczeństwa. Ludziom myślnym przeciwstawił typ troglodytyzmu (zwierzęcy), w którym dąży się wyróżnić trzy podtypy: ludzie-świnie, ludzie-byki, i ludzie-drewna (automaty). W tej bez-

litosnej krytyce mieszczaństwa najbardziej dostało się kategorii trzeciej, ludzom „dotkniętym atrofią uczucia, idiotom uczucia”, wypranym z wszelkiej emocjonalności, działającym nawet sprawnie, uczciwie, ale bez indywidualnego zaangażowania. „Podczas bowiem gdy ludzie-byki nie są zbyt lubiani, a ludzi-świn wyższy niemal podkpiwają sobie po trosze; to ludzie-drewna, dzięki swej fachowości, uczciwości i neutralności („wytrawności”) mają, a nas zwłaszcza, na opinie wpływ przeważający; są to ludzie „solidni”. Jeżeli ogólny pochód ludzkości pojmujemy jako walkę, to typy drewniane, obce wszelkim dramatom wewnętrznym i zewnętrznym, dadzą się porównać do ciurów, którzy są wprawdzie pożyteczni przy spełnianiu różnych funkcji obywatelskich, ale stoją zupełnie poza walką, bo nie posiadają tego ani impulsu, ani odwagi, ani uległości. Mogą nawet w walce być przeszkodą, jako zawaldróg! Opozycyjny układ społeczny — tłum i genituse — często przewija się w piśmiennictwie modernistów, parując reprezentacyjnych najsłabszych orientację światopoglądową i artystyczną, np. u lewicującego Nalkowskiego, jak i u konserwatywnego Miriana. Krytyka cytywanego wyżej autora obrodziła była przewidywanym typem Filisira, a co za tym idzie — przeciw negatywnym skutkom cywilizacji przemysłowej, szczególnie jeśli chodzi o wypaczenie moralne człowieka. Objawiało się ono w zatarciu indywidualnych rysów, we wzrastającej anonimowości szerokiej kręgow społecznych. Stąd potrzebne było rozpoznanie wadliwosci epoki pod kątem analizy socjologicznej w ujęciu historycznym.

Zatem w ideologii polskiego modernizmu możemy wyróżnić dwa nurty: historyzujący i ahistoryzujący. Drugi z nich echował się filozofia pesymizmu i bezwładności, w której główny ciężar problemowy przeniesiony był z zagadnień społecznych na sferę osobowości ludzkiej. Niósł on ze sobą pewne wartości poznawcze — jak na przykład w szkicach Przybyszewskiego jest mowa o dwójstosiej jaźni ludzkiej (dusza i rozum) — ale na nich też się zatrzymał. Przedstawiciele nurtu historyzującego (zwłaszcza Brzozowski) nie ośmieliłi tylko przy poznaniu; chodziło im o coś więcej, o zmianę zastanej rzeczywistości, przezwyciężenie stanu pustki i bezwładności. W związku z tym szukali oparcia dla swoich tez nie tylko w sferze działalności artystycznej, lecz przede wszystkim w przemianach społecznych, jakie wokół nich się dokonywały i dlatego też filozofia pesymizmu i bezwładności przeciwdziałano filozofie czynu i pracy, której najdojrzalszy wyraz dał w swoich pismach Stanisław Brzozowski.

Autor „Legendy Młodej Polski” (1908), dzieła, w którym pogrzebał idee współczesności, mu młodości, wychodził z założenia, iż tylko praca obdarza sensem życie ludzkie. Człowiek przeto sam nadaje wartość swemu istnieniu i otaczałemu światu. Sens ów to nieustannie powtarzanie nowych wartości poprzez pokonywanie oporu przyrody, świata zewnętrznego, bezkształtu, któremu na imię Nie-Ja. Ta pustka, przerwająca legiony modernistów, miała stać się źródłem nowej mocy, tym, co należało pokonać. Świat jest tylko takim, jakim go człowiek uczyni umysłem i pracą fizyczną. Wszystko, co znajduje się poza zasięgiem intelektu, jest amoralne, bowiem sam obce pojęcia wolności, moralności i wszyst-

kie inne wartości. Człowiek zawieszony w próżni, kulturyjacy swą samotność jest istotą amoralną, gdyż nie może posiadać odpowiedzialności, która nierozważalna jest z pojęciem pracy. Tworząc odpowiedzialność nie tyle przed historią i nie tyle za siebie, ile za przód czył za to, co jest naszym dziełem. Stąd proces dziejowy to ciągłe pokonywanie świata zastanego i określanie się wobec niego. Inteligent zatem — a był Brzozowski przede wszystkim ideologiem inteligentów — nie związany bezpośrednio z procesem wytwarzania, winien solidaryzować się z klasą robotniczą, ta grupa ludzi, która w widoczny, namacalny sposób pokonuje opór świata zewnętrznego. W tak rozumianej filozofii, acz niesamowicie uproszczonej, zrodziła się idea Brzozowskiego kampania antysentimentalistyczna i antymiriamowska, w ogniu której przyszył autor „Idei” (1910) wypracował nowe kryteria krytyki literackiej, wyrażające z gruntu filozoficzno-socjologiczne.

Niniejszy artykuł opatrzyłem tytułem „Dlaczego modernizm?” Zdał sobie doskonale sprawę z uproszczeń i pominięć całej masy zjawisk, znamienitych dla polskiego modernizmu. Chodził mi o pewną wyidealizowaną historię, a nie o pełne wyidealizowanie, które — być może — w jakimś stopniu pomoże zrozumieć przemiany w literaturze ostatniego trzydziestolecia. Nie chodzi też tu o dosłowne nakładanie się epok dziejowych, ale o to, że istnieją pewne analogie. Po totalno-optimistycznych nastrojach początku lat pięćdziesiątych przyszedł okres tzw. czarnej literatury, sztuki, rozbiła wewnętrzny (np. Marek Hłasko) i braku idei jednoczącej. Różnicę pisał w poemacie „Spadanie” o tym, że spadamy dziś we wszystkich kierunkach, że nie ma nawet dna, jako ostającego punktu wyjścia. Wystarczy to porównać z cytowanymi Brzozowskim. Pod koniec lat sześćdziesiątych zaczęły pojawiać się pierwsze sygnały przezwyciężenia stanu marazmu ideowego. Tryumfalny pochód odbiwa we współczesnej krytyce literackiej Brzozowski, jako jeden z szupów młoty tradycji, która wyznaczała jeszcze nazwiska Maurycyego Mochnackiego, Mieczysława Augusta Cieszkowskiego, Norwida i in. tradycji, głoszącej aktywizm, stanunek do zastanej rzeczywistości i domagającej się od literatury, aby była wyrazem samowiedomości narodowej.

Modernizm na ziemiach polskich był w dziejach naszej sztuki i literatury okresem nie tyle kryzysowym, co przełomowym, również w dziejach kultury europejskiej, w którym to wielość tendencji występujących na jednej płaszczyźnie historycznej uświadomiła następcom wielość możliwości tej kultury — od zaprzeczenia sensu naszego istnienia po afirmację twórczej działalności człowieka. Trzeba więc, nie mówiąc, że kryzys się stał i po to, aby móc le przewidywać. A jeśli nawet obstaliśmy przy pojęciu kryzysu w odniesieniu do modernizmu, to dodajmy, że był to kryzys twórczy, bo stworzył podstawy wolności wyboru, jedynego wolności, jaką oferuje nam świat kultury.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Język angielski — najbardziej rozpowszechniony na świecie — posiada też najbogatsze ze wszystkich języków słownictwo; liczba jego słów przekracza pół miliona. Żaden człowiek nie jest w stanie opanować takiej masy słów w całości; nie potrafią tego także dokonać sami Anglicy. Mówi się, że w dziełach Szekspira — wielkiego mistrza słowa — użyte jest „tylko” około 19 000 wyrazów.

Wobec takich, astronomicznych dla przeciętnego człowieka, liczb samopoczucie kogoś, kto chce nauczyć się języka angielskiego nie może być nadzwyczajne, bo czyż można nie zniechęcić się mając w perspektywie wkuwanie „słówek” do końca życia?

Gdyby ktoś zadał sobie trud głębszego odczytania wszystkich wyrazów zawartych w wielkim słowniku angielskim, tzw. Oxford English Dictionary, to musiałby czytać bez przerwy przez ponad trzy doby. Gdyby jedynie zasób słów decydował o tym jak mówimy to moglibyśmy mówić całymi tygodniami zanim mielibyśmy okazję użyć jakiegoś słowa ponownie. Jednak już pobieżna obserwacja ujawnia, że niektóre słowa używane są częściej niż inne. Dzieje się tak dlatego, że nie wszystkie słowa są dla mówiących i piszących jednakowo ważne i użyteczne. Większość z nas nie ma prawie wcale okazji by używać takich słów jak „krogulec” czy „socha”; nie możemy się natomiast obejść bez takich wyrazów jak „tu”, „gdzie” lub „chleb”.

W tym miejscu przyszedłby adepty języka angielskiego może odetchnąć z nadzieją iż nie musi opanować całości słownictwa aby porozumiewać się w tym języku.

Okazuje się, że spośród półmilionowego słownictwa — 50 najczęściej używanych wyrazów stanowi 60 proc.

wszystkich słów używanych w mowie i około 45 proc. w piśmie! Według obliczeń radzieckiej badaczki W. Kondratiewej, znajomość 4000 najczęściej używanych słów wystaczy dla rozumienia 97,5 proc. wyrazów większości tekstów literackich. Tak więc, zamiast 500 tysięcy wyrazów, wystarczy nauczyć się czterzy.

Przystępując do nauki języka angielskiego wykształcony Polak zna, choć często nie zdaje sobie z tego sprawy, kilka tysięcy wyrazów w tym języku! Należą do nich tzw. słowa międzynarodowe, jak „telefon”, „tele-

nazywamy obecnie chuligaństwem. Oprócz słów międzynarodowych używanych we współczesnej polszczyźnie jest jeszcze ogromna liczba słów obcego pochodzenia, często angielskiego, które wyszły lub wychodzą już z użycia lecz, mimo to, są znane ogółowi ludzi wykształconych. Istnieją też słowa obce, które odnoszą się tylko do określonych sytuacji lub dziedzin życia, na przykład sportu. I tak, piłka podczas meczu (match) często wychodzi na aut (out) a piłkarz często wychodzi na offside (off-side) i biją kornery (corner).

„Tak w moich stronach pan Deyma usiekl pana Ubysza, z którym dwadzieścia lat w największej żył konkordii.” (concord — zgoda).

„Zali Kryczyński stawia jakie nowe kondycje?” (condition — warunek).

„niepomierne to jest konsolacja grzeźnej zemsty dokonanej.” (consolation — pociecha, ukojenie).

„Specjal to jest i raryter, jakiego dotychczas nie oglądałem, gdyż nawet i owe figury bogiń tak właśnie z marmuru udane, jakoby żywe, któreśmy w pałacu Kazanowskich widzieli, nie mogą wejść z nią w paragon.”

Podobnie ma się rzecz i z innymi wyrazami. Weźmy, na przykład, wyraz „dropsy”, który jest nazwą popularnych u nas cukierków. W języku angielskim wyraz ten oznacza puchłą wodną obrzęk a także chorobę drożdż. Fakt, iż rzeczy tak różne określane są słowem o tej samej formie jest przypadkowy. W języku angielskim istnieje słowo „drops”, które oznacza cukierki landrynki. Słowo to jest rzeczownikiem w liczbie mnogiej. Pomimo tego, w języku polskim otrzymało ono polską końcówkę liczby mnogiej -y, z wiadomym skutkiem.

Podobnie stało się z wyrazem „notes” („notesy”). Angielskie zeszyty (o różnym formacie) mają często na okładce słowo „notes”, które jest rzeczownikiem w liczbie mnogiej i oznacza „notatki”, „zapiski”. W języku polskim jest to wyraz w liczbie pojedynczej przybierający regularną końcówkę liczby mnogiej i odpowiadający angielskiemu wyrazowi „note-book” (zeszyt do notatek).

Na zakończenie jeszcze jeden przykład podobnego pomieszania. Istnieje w języku angielskim wyraz „sportsman” odpowiadający polskiemu wyrazowi „sportowiec” (kiedyś używano się również wyrazu „sportsmen”). Sportowcy (mężczyźni) to po angielsku „sportsmen”; od tego wyrazu, będącego w liczbie mnogiej, utworzono polski rzeczownik w liczbie pojedynczej — „sportsmenka”, choć język angielski posiada tu odrębne określenie.

Poprzestając na tych przykładach, iżby nie zanudzić zbyt długim wywodem, jeszcze raz polecam szanownym czytelnikom lekturę Sienkiewicza, również dlatego, że jak powiedziałby Zagłoba, aura siurpryzami sypląc, do czytania czas wiele sposobny czyni.

BOGDAN KRAKOWIAN JAK NAUCZYĆ SIĘ ANGIELSKIEGO Z „TRYLOGII” SIENKIEWICZA

wizja”, „immunizacja”, itp. Niektóre z takich wyrazów są zapożyczeniami z łaciny i greki zarówno w języku polskim jak i angielskim; niektóre z nich trafiły do polszczyzny bezpośrednio z języka angielskiego. Każdy wyraz ma swoją osobliwą historię a śledzenie jego losów może często być nader pasjonujące. Na przykład wyraz „chuligan”, który jest zapożyczeniem z angielskiego lecz do polszczyzny trafił z języka rosyjskiego, wiąże się z angielską rodziną zлочытców o nazwisku Hooligan. Niektórzy członkowie tej rodziny zabawiali się podobno łapaniem przechodniów i spuszczeniem ich w dół stromej ulicy w beczkach. Stąd, podobnie „zabawy”

Mój dziadek mawiał, że wcześniej zobaczył tanki i aeroplany niż miał okazję odbyć przejażdżkę samochodem i nauczyć się jeździć na bicyklu.

Wydaje się, że bardzo pożyteczną rzeczą dla uczących się angielskiego jest uważna lektura takich dzieł literatury polskiej jak „Trylogia” Sienkiewicza, właśnie ze względu na język tam używany a ściślej mówiąc — na słownictwo. Oto kilka cytatów z „Pana Wołodyjowskiego” oraz „Ogniem i mieczem”.

„Cóż to stan małżeński w taką abominację podał?” (abomination — wstręt).

„Krzysiu... zali ci konfuzja przeszła?” (confusion — zmieszanie).

Zgodzimy się chyba, że uczyć się angielskiego będzie miał ułatwienie zadanie jeśli spotka w tekstach drukowanych (w mowie sprawa się komplikuje ze względu na odmienną wymowę) wyrazy, które może odnieść do wyrazów używanych w języku polskim. Trzeba jednak być wyjątkowo ostrożnym, gdyż nie zawsze słowa podobnie napisane mają to samo znaczenie. Dowodzi tego wymowne ostatni cytaty z Sienkiewicza, w którym autor użył wyrażenia „wejść w paragon” w takim znaczeniu, w jakim słowo „paragon” używane jest w języku angielski, tzn. „porównać (się)”.

„ZRÓDŁO Z”

Dalszy ciąg ze str. 1

zgodę rządu polskiego w Londynie. Wystąpił w tej sprawie do ostatniego przedstawiciela dyplomatycznego Polski, min. Frankowskiego, przed jego odjazdem z Włoch do Londynu. Obiecał się nią zająć, lecz odpowiedź nie nadchodziła. Tymczasem w Algierze mitrężono tak długo, aż wreszcie szef ekipy „Luc” wydał rozkaz powrotu do Francji. 1 października 1940 r. wszyscy znaleźli się w „Cadix”. Wkrótce potem pojawiły się znów te same skrupuły. Uspokoił je dopiero pisemny rozkaz gen. Kleeberga — ostatniego przedstawiciela wojskowego Polski przy rządzie Vichy, działającego pod szyldem Czerwonego Krzyża. Wówczas praca rozpoczęła się na nowo, a towarzyszył jej zapal taki sam, jak poprzednio. Ekipa „D” i ekipa „Z” — dodaje Bertrand — stanowią w Cadix jedyną personel techniczny, gdyż Francuzi zostali zdembilizowani i nie kwapili się do powrotu na dawne miejsca. W Cadix brakowało jednak maszyn „Enigma” — rozejm przeszkodził w odebraniu zamówionych w Paryżu dostaw. Jednakże firma kontynuowała produkcję, a gdy nawiązano ponownie kontakt, udało się — mimo okupacji — przewidzieć wykonane części oraz narządzia niezbędne do montażu, przerzucając je przez linię demarkacyjną. Zmontowane maszyny zainstalowano w „Cadix”. Podczas jednej z podróży do Paryża związanych z tą sprawą (było ich w sumie 26) Bertrand zawarł znajomość z Maxem — funkcjonariuszem ambasady niemieckiej, który — jak pisze autor — „nie stał się wprawdzie drugim „Aschem”, lecz wiedział niejedno z tego, co działo się w ambasadzie, a ponadto wykorzystując swe możliwości dyplomatyczne umożliwił bezpieczne przewożenie elementów „Enigmy” przez linię demarkacyjną. Podjęto więc na nowo rozszyfrowanie tekstów przy pomocy tej maszyny — mimo stałego zagrożenia ze strony niemieckiej komisji rozejmowej, która działała w strefie nie okupowanej i której wtargnięcie do „Cadix” było zawsze możliwe, gdyż miała ona nieograniczone prawo kontroli. „Cadix” miał się więc stać na bagniska. Nie miał ogólny bilans działalności załogi przyniósł prawie 4.700 rozszyfrowanych dokumentów. Były to m. in. rozkazy operacyjne dla Wehrmachtu dotyczące wszystkich terenów okupowanych (Austrii, Belgii, Bułgarii, wyspy Kreta, Francji, Węgier, Libii, Polski, wyspy Rodos, Syberii, Czechosłowacji oraz ZSRR i Jugosławii), rozkazy dla oddziałów policji i SS w Austrii, Francji, krajach bałtyckich, Holandii, Luksemburgu, Norwegii, Polsce, Czechosłowacji i ZSRR, rozkazy dla Wehrmachtu przekazywane za pośrednictwem policji, a także sprawozdania z akcji na terytorium ZSRR przeprowadzanych przeciwko partyzantom i Żydom.

Na początku 1942 roku odczytano 158 depech radiowych pochodzących od agenta Abwehry. Były one redagowane w języku francuskim, podpisały literą G. lub S. i dotyczyły wyłącznie spraw rosyjskich. Ich treść zakomunikowano przedstawicielowi wojskowemu ZSRR przy rządzie Vichy.

Grupa mieszkańców Cadix składała się z ponad 30 osób, w tym 7 człon-

ków ekipy „D” (hiszpańskiej) i 15 członków ekipy „Z” (polskiej). Te obydwie ekipy wykonywały całą pracę „techniczną”, a ich członkowie rozumieli się nawzajem, mimo pochodzenia spod różnych szerokości geograficznych. Łącznie tworzyli — jak to sami nazwali — „sympatyczną grupę hiszpańsko-polską”. Trzeba było poradzić sobie jakoś z wyżywieniem tej całej gromady. Obowiązywał przecież reżim kartkowy, a nie można było zdemaskować się przed merostwem w Uzes. Dzięki odwadze i życzliwości jednej z sekretarek urzędu, odpowiedzialnej za wydawanie bonów żywnościowych, udało się tę sprawę rozwiązać pomyślnie. Ale „deputaty” nie wystarczyły oczywiście pełnym temperamentu młodym ludziom i okazało się że pomoc może jedynie „czarny rynek”. Penetrowano całą więc okolicę, zdobywając tu i tam mięso, drób, jarzyny, a wszystko tak, aby nie dać się złapać węższym wszędzie kontrolerom. Jeszcze trudniej było z winem i innymi spirytualiami. Ale i ta przeszkoła została pokonana: przywieziono je w beczkach, na krytej ciężarówce, opleczonej w tajemnicy napisem: „Materiał tajny, własność Ministerstwa Wojny”.

Efektywność pracy ekipy „Luca” stale rosła, co nie przeszkadzało, że zdarzały się różnego rodzaju kłopoty, „nieuniknione wśród gromady wspólnej mieszkających mężczyzn, którzy rzadko wychodzą, a często piją i to prawdziwie po polsku” — stwierdza Bertrand. — Alkohol w jakimś sensie wspomagał ich poszukiwania kryptologiczne, w których wykazywali coraz większe mistrzostwo, uzyskując zadziwiająco rezultaty. Wszyscy ci ludzie nie mieli, lub prawie nie mieli wiadomości od swych rodzin, którym nie wolno było podawać adresu „Cadix” czy nawet Nimes. Skrytki pocztowe na ich korespondencję znajdowały się w różnych miejscach, głównie w Szwajcarii, skąd przesyłki dostarczane były pocztą dyplomatyczną do Vichy, „a stamtąd — pisze Bertrand — odbierałem je osobiście za każdą bytnością”. „Organizowałem — pisze dalej autor — spotkania towarzyskie ekipy przy każdej nadarzającej się okazji. Spiewaliśmy, piiliśmy, rozmawialiśmy o kraju, o przeszłości i przyszłości. Chандрę leczyliśmy piśnią.”

W małym świątku Cadix wszystkie pogłoski przybierały przesadzone proporcje, najmniejszy incydent rozrastał się niepomiernie, a byle skorpion (bo zdarzały się one w „Cadix”) stawał się sprawą wagi państwowej. „Ponieważ zaś tam — pisze Bertrand — gdzie zbiera się dwóch Polaków istnieją trzy różne zdania, niełatwo było rozstrzygnąć nieporozumienia”. Ogólnie rzecz biorąc atmosfera była jednak dobra. Nie można było się uskarżać na poważniejsze trudności, aczkolwiek — zaznacza Bertrand — „musieliśmy nieustannie liczyć się z tym, co przyjeżdżał ulubionym przez „Luca” terminem — „idiosynkrazja”. Każdy pracował w swoim pokoju i z wyjątkiem niedzielnych wychodził z niego najczęściej jedynie na sygnał gongu zapowiadającego posiłek. Nie było żadnej kontroli, panowało absolutne zaufanie. Trzeba było liczyć się z sytuacją alarmową i zapewnić schowek na materiał, a także ewentualnie na dokumenty. Regulamin na wypadek alarmu ustalał wszystkie szczegóły i

każdy wiedział co ma robić. Wyjątek stanowiłoby jedynie pojawienie się niemieckiej komisji rozejmowej, które oznaczałoby koniec dla wszystkich. Akceptowano to nieustannie grożące ryzyko, lecz dominowała nadzieja, że wszystko będzie dobrze. Na początku 1941 roku w Algierze zorganizowano filię placówki „Cadix”, gdzie funkcjonowały pewne nasłuchi radiowe, które trzeba było wykorzystywać na miejscu, aby uniknąć przekazywania informacji za pośrednictwem kuriera, zbyt niebezpiecznego ze względu na działalność wspomnianej niemieckiej komisji rozejmowej. „Pojechałem tam osobiście, a nawet skorzystałem z tego wyjazdu — pisze autor — aby dotrzeć aż do Rabatu, gdzie funkcjonowała inna pokrewna placówka nadzorująca łączność zwłaszcza hiszpańską, a także łączność między agentami niemieckimi w Tangerze i na terenie kolonii hiszpańskich”.

Bertrand doszedł później do wniosku, że byłoby dobrze posłać tam kilku ludzi z każdej ekipy, z jednej strony po to, aby się trochę „przewietrzyli”, z drugiej zaś — aby udoskonalić pracę tamtejszej placówki i zwiększyć jej wydajność. W ten sposób powstał plan rotacji, aby każdy mógł spędzić w Algierze trzy miesiące, ponieważ wszyscy pragnęli tam pojechać, gdyż atmosfera w strefie nie okupowanej stawała się coraz cięższa. Podczas jednej z takich podróży rotacyjnych między Algierem i Marsylią zatonął statek „Lamoriciere”, na którego pokładzie znajdowało się trzech oficerów polscy (G., P. i S.), oraz jeden oficer francuski stanowiący ich eskortę. Wszyscy oni zostali uznani za zaginionych. Był to poważny cios dla morale ekipy. Tym bardziej że wraz z nimi zaginęły cenne materiały, m. in. dwie maszyny do szyfrowania.

Wojna zbliżała się już do półmetka, zaś w placówce „Cadix” na terenie nie okupowanej strefy Francji trwała nieprzerwanie praca nad odczytywaniem niemieckich depech kodowanych przy pomocy maszyny szyfrującej zwanej „Enigma”.

Tymczasem począwszy od sierpnia 1942 roku groźba całkowitej okupacji stawała się coraz bardziej realna. „3 września — pisze Bertrand — dowiedziałem się od „Maxa”, że nastąpi ona niezwłocznie, jeżeli alianci zajmą tereny Afryki północnej. Ponadto „Max” uprzedził mnie, że w pobliżu Dijon zgrupowano dwie dywizje niemieckie, gotowe natychmiast ruszyć dołną Rodanu w kierunku Marsylii. Podobnie przygotowania poczyniono na trasie południowo-zachodniej oraz południowo-wschodniej (Wios). Po powrocie do „Cadix” Bertrand przekazał te informacje do Londynu z prośbą o przygotowanie się na ewentualność przymusowej ewakuacji tej placówki i wysłania z niej personelu — a przynajmniej tylko Polaków — do Anglii. Wkrótce otrzymano odpowiedź sugerującą udanie się wszystkim do Algieru i później nawiązanie kontaktu z Londynem. Jako inny wariant proponowano ewakuację personelu drogą morską przez jeden z trzech ustalonych wcześniej punktów, zaś po dokonaniu tej akcji — ewakuowanie Bertranda i jego żony Mary, specjalnym samolotem. Ustalono hasło: „Zbiory są dobre” — które miało zapowiadać bliskie wywołanie sojuszników, bez żadnych wskazówek co do miejsca, gdzie ono się odbędzie. W „Cadix” opracowano do najdrobniejszych szczegółów plan ewakuacji. Do sekretu dopuszczony został wyłącznie „Luc” — zachowano natomiast absolutną tajemnicę wobec wszystkich innych. Od 31 październi-

ka do 4 listopada Bertrand przebywał wraz z „Lucem” i „Lenoirem” (członkiem ekipy „Luca”) na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie konsultował z innymi członkami tamtejszej siatki możliwości ewakuowania placówki „Cadix”. „Podczas mojej nieobecności — pisze Bertrand — odebrano szyfrogram „Zbiory są dobre”, ale nikt nie umiał go rozszyfrować, gdyż nadano go moim osobistym kodem. Nadawcy zapytywali równocześnie czy informacje w sprawie dywizji w pobliżu Dijon, potwierdziły się, a także ile czasu potrzebowałoby Niemcy dla całkowitego okupowania Francji. Zaproponowałem, że pojedą niezwłocznie do Paryża, aby wysłuchać opinii „Maxa”, lecz odpowiedziano mi z miejsca, że „Zbiory są bardzo dobre i nie czas już na podróże”. Nie podano jednak żadnych bliższych szczegółów dotyczących miejsca i czasu lądowania alianców.”

Podczas gdy rozgrywały się wszystkie te wydarzenia w „Cadix” stwierdzono, że w okolicy pojawiły się samochody niemieckiego nasłuchu goniometrycznego. Sledzono pilnie ich ruchy, w czym pomocne były informacje otrzymane z prefektury w Nimes. Dla ostrożności „Cadix” przeszedł na nadawanie informacji „w powietrzu”, co oznaczało, że nie nawiązywano bezpośredniej łączności, lecz druga strona udzielała odpowiedzi na innej długości fali i w innym momencie. 6 listopada niemiecka ekipa goniometryczna pojawiła się w bezpośrednim sąsiedztwie „Cadix”. Personel przystąpił niezwłocznie do wykonania planu alarmowego: ukryto nadajnik, zamknięto szczerlnie wszystkie drzwi i okna, ludzie pozostali wewnątrz w absolutnej ciszy. Z niewytumaczalnych przyczyn ekipa goniometryczna przetrząsnęła okoliczne farmy lecz zignorowała sam zamek. Jednakże w wyniku tego wydarzenia bezpośredni zwierzchnicy Bertranda w Vichy wydali polecenie niezwłocznej ewakuacji „Cadix” i przywiezienia personelu w pobliże wybrzeża (między Niceą a Cannes). 8 listopada rano radio Londyn podało, że alianci wywołali w Afryce Północnej. Dzień później „Cadix” został kompletnie ewakuowany, usunięto też wszystkie materiały i tylko nadajnik pozostał w swym niewykrywalnym schowku, „gdzie zapewne — jak stwierdza Bertrand — znajduje się jeszcze do dziś”. Ponieważ ekipa „D” odjechała do Afryki północnej już wcześniej — w momencie pojawienia się pierwszych alarmujących oznak — ewakuacja obejmowała ekipę „Z” oraz samego Bertranda z żoną i najtajniejszymi dokumentami. 12 listopada rano Niemcy zajęli „Cadix”, lecz w tym czasie ekipa „Z”, zgodnie z opracowanym poprzednio planem, wydwęwała już w mniej niebezpieczne okolice, zaś Bertrand i Mary ukryli materiały w całkowicie pewnym miejscu. Zainstalowano się początkowo w grupach — w Cannes, Antibes i Nicei — lecz kiedy pojawiły się oddziały włoskie, wszyscy zebrali się w Cannes, gdzie Mary (w czterech różnych wcieleniach) wynajęła cztery mieszkania. Trzeba było teraz pomyśleć o ewakuowaniu ekipy „Z” poza terytorium francuskie, bądź do Afryki północnej, bądź do Anglii (drogą morską lub przez Hiszpanię) lub też do Szwajcarii.

„Było to tym pilniejsze — pisze Bertrand — że członkowie ekipy, a przede wszystkim sam „Luc”, szybko dali się porwać przyjemnościom całkowitej swobody, obficie dozowanym dzięki funduszom, które otrzymywali od rekonstruowanej w Londynie służby polskiego wywiadu”. Wszystko

to musiało oczywiście wzbudzić czujność policji w Cannes, której interwencja mogła przynieść poważne i godne konsekwencje. Ponadto z chwilą pojawienia się na wybrzeżu włoskich sił okupacyjnych oraz gestapo, atmosfera stała się trudna do wytrzymania. Podjęto próbę wydosłania się drogą morską, przy pomocy Brytyjczyków. Próba nie dała rezultatu, gdyż wybrzeże było zbyt gęsto obsadzone przez Włochów. Nie powiedziała się również próba przejścia do Szwajcarii. Trzeba było więc zdecydować się na forsowanie Pirenejów. Pierwszy przelot odbył się 14 stycznia 1943 roku, ostatni — 4 lutego. Towarzyszyli im najrozmaitsze perypetie. Pierwszy „konwój” został aresztowany przez francuskich żandarmerów jeszcze przed osiągnięciem granicy i trzeba było uciec się do interwencji na najwyższym szczeblu, aby odzyskać wolność. Kolejna próba podjęta w marcu zakończyła się aresztowaniem przez Niemców i wywiezieniem do Rzeszy „Luc” i jego zastępcę zwrócili na siebie szczególną uwagę w barach Perpignan, a ponadto pertraktowali na własną rękę z hiszpańskim „przemysłowcem”, który zapewne po prostu ich wydał. Ci, którzy przeszli przez góry, zostali internowani przez Hiszpanów. „Wykupili” ich później Anglia i przetransportowali drogą lotniczą do Londynu. Dla Intelligence Service była to prawdziwa gratka — unikali specjalistów, twórcy maszyny „Enigma”.

Po wyzwoleniu wszyscy się odnaleźli z wyjątkiem dwóch, „Lenoira”, który zginął w obozie Sachsenhausen — Oranienburg podczas bombardowania Berlina przez alianców oraz „Fonka”, który zmarł w tymże obozie. Pozostali dotarli do armii polskiej w Londynie. Wojna nie była jednak skończona. Po niezliczonych perypetiach, związanych z działalnością wywiadowczą na terenie okupowanej Francji, Bertrand znalazł się w Londynie, skąd pod koniec września 1944 roku powrócił wraz z żoną do Paryża. „Powierzono mi — jak pisze — zadanie odbudowania mojej starej placówki i to jak najszybciej. Podjąłem starania, by odzyskać tych, którzy pozostali z ekipy „D” (Hiszpanów) i ekipy „Z” (Polaków), dodając do nich personel francuski z Londynu i Algieru. Zebrałem moje tajne archiwa (maszyny „Enigma” i dokumenty) rozlane po różnych schowkach i nie wykryte przez Niemców podczas okupacji. To była moja baza wyjściowa”. Od 1 stycznia 1945 roku „Zródło Z” funkcjonowało na nowo. Tak więc wspólna akcja wywiadów alianckich, w tym wywiadu polskiego, który odegrał w niej niepoślednią rolę, zakończyła się pełnym sukcesem.

Mimo rozejmu we Francji, mimo trudności, jakie później wystąpiły, mimo aresztowania tych „którzy wiedzieli”, wśród nich autora tych wspomnień, Niemcy nigdy nie dowiedzieli się o odkryciu przez aliantów tajemnicy „Enigmy” i rozszyfrowaniu depech nadawanych przy jej pomocy przez Wehrmacht trwającego do końca wojny. Wyniki uzyskane dzięki temu stanowiły prawdziwą „tajną broń” w ręku dowódców wojskowych, która na szczęście w późniejszym okresie została w pełni wykorzystana. Mimo iż brak jest podsumowujących danych, wiadomo jednak tyle, że informacje pochodzące z „Zródła Z” — z odtworzonej maszyny „Enigma” służyły zarówno W. Brytanii, jak Stanom Zjednoczonym i Związkowi Radzieckiemu.

ANDRZEJ BLAJER

Da'szy ciąg ze str. 1

mniał niechający, że tutaj, przy pomocy całego zespołu maszyn matematycznych i analizatorów kontroluje się zużycie niemal wszystkich materiałów napędzających samochody, które poruszają się po ulicach i drogach Bundesrepublik. Kontroluje w dosłownym tego słowa znaczeniu. I jeszcze coś: pan Dürbaum tzn. oczywiście „Esso”, które reprezentuje, bardzo jest zainteresowany ciekawymi — jak przyznał — planami rozbudowy w krajach socjalistycznych i Polsce sieci gazów i ropociągów. Podobno zamierzamy kooperować przy budowie ropociągu Hamburg — Wilhemshafen? Choćby nawet mógł — nie zapomniał ciekawości pana Dürbauma, sorry, Herr Chef Public Relations!

O tych sprawach mówi się tutaj bardzo, ale to bardzo niechętnie. Wszak formalnie rzecz biorąc, nadal obowiązują w Bundesrepublikie dosyć ostre zasady o dekarcelizacji. Poza tym cała rzecz ma trochę nieprzyjemny smaczek, jako że obok rodzimych potentatów idzie także o pewne — nazwijmy to — zjawisko wzajemnego „przenikania”. Tylko w ciągu ostatnich pięciu lat, a wynika to z obliczeń dokonanych przez Deutsche Bank AG, do przemysłu zachodniemieckiego wlała się ogromna kwota około 15 miliardów dolarów i stanowią ona udział amerykańskich firm w przemyśle RFN. W ten sposób wielkie koncerny amerykańskie stopniowo zaczynają penetrować kapitalizację zachodniemiecką, zlewając się z nią i stopniowo go podporządkowując.

O tym się niechętnie mówi. Czasami tylko, gdy jest to potrzebne do gry politycznej, cały problem wypływa na światło dzienne i przeciętny mieszkaniec Republiki Federalnej Niemiec dowiaduje się, iż jest ściśle kontrolowany jeśli chodzi o status ekonomiczny, bądź też — jak to ma miejsce w przypadku koncernu wydawniczego Springera — indoktrynowany przez gospodarce lub propagandowo-reklamowe olbrzymy, których macki można dostrzec niemal wszędzie. Weźmy tylko ów koncern prasowy „ACS” czyli Herr Axela Springera...

Republika Federalna Niemiec zajmuje dziś drugie miejsce w Europie — po Wielkiej Brytanii — w dziedzinie czytelnictwa prasy. Na każdą sekcję mieszkańców przypada tutaj 30 egzemplarzy gazet i czasopism dziennych. Każdego dnia na rynku prasowym Bundesrepublik pojawia się około 20 mln egzemplarzy gazet, a do tego dochodzi jeszcze blisko 50 mln egzemplarzy czasopism i 150 mln rozmaitych periodyków. Olbrzymi ładunek informacji działający każdego dnia na opinię publiczną!

W tym miejscu wypada — nie, trzeba koniecznie — dodać jeszcze coś, co będzie miało charakter komentarza dla nas podobno żyjących za „żelazną kurtyną” i — powtórzę — podobno pozbawionych zupełnie obiektywnej informacji: koncern prasowy Springer skupiał w swoim ręku — jeśli można tak powiedzieć, prawie 40 proc. nakładu wszystkich dzienników i około 20 proc. nakładu magazynów ilustrowanych, jakie ukazywały się w Bundesrepublik. Charakter, a przede wszystkim ton tej propagandowej papki był i jest przygotowywany przez „kucharzy” pracujących w centralnym ośrodku dyspozycyjnym springerowskiej prasy, która — jak na ironię, bo wprost nie cierpi Ostpolitik uwiła sobie gniazdo w rządowym przez socjaldemokratów Hamburgu. Ten stan rzeczy, ogromne skupienie środków masowego przekazu w ręku jednego i to dodajmy, „prywatnego” człowieka, zaniepokoił nawet pewne koła w RFN i spowodował utworzenie specjalnej komisji anty-kartelowej w prasie. Jej przewodniczący — Eberhard Guenther miał pewnego dnia stwierdzić: — „Wolność prasy w RFN zagrożona”. Jeden z rozdziałów raportu tej komisji opatrzone sensacyjnym jak na urzędową publikację tytułem: „Informacja czy panowanie sufferów?”

No cóż...

Tak, widmo straszy nadal, a ostatni potomek rodziny — symbolu, młody „pan na willi Hügel” i... okolicach Essen, mimo pewnych perturbacji i utraty miana właściciela największego w świecie rodzinnego przedsiębiorstwa — ma się niezgorzej. Tak samo jak cała reszta „zasłużonych” koncernów zachodniemieckich. Choćby tylko taki Mannesmann AG. Jego kapital akcyjny szacowany jest dziś na 600 do 700 mln marek zachodniemieckich i publiczną tajemnicą jest, że Mannesmann, to obecnie największy koncern pracujący „w stali i węglu” w zachodniej Europie.

Powiedziałem już tutaj, że o „tych” sprawach — o koncentracji kapitału i dyspozycji w jednym ręku nawet

jeśli chodzi o przemysł, ale również o handel i dystrybucję towarów, którymi się tutaj zajmują wyłącznie niemal domy towarowe — olbrzymi, mówi się po zachodniej stronie Łaby bardzo niechętnie, a jeśli już to

i jezior, tudzież szmat wód przybrzeżnych Niemieckiej Republiki Federalnej jest dokumentowanie zatrutych przez przemysłowe ścieki i jeśli już marzysz o kąpielu to raczej w Adriatyku lub Morzu Czarnym. Tak będzie lepiej

nek RFN. No, bo na pozostałą platkę składają się wyprodukowane w Polsce buty męskie, magnetofon, torba skórzana, sweterek damski, rozmaita galanteria skórzana — walizki, teczki, kufry.

KRYSZTOF POGORZELEC

JEDNAK SIĘ OBRACA?

(KORESPONDENCJA WŁASNA Z RFN)

półgębkiem. Włęcz — przybyszowi „z tego dziwnego, innego świata” serwuje się bogaty zestaw wiadomości i publikacji na temat rzekomego zanikania... klasy robotniczej, obumierania, a co najmniej zacieraania się różnic między pracodawcami a pracownikami (czytaj — kapitalistami i robotnikami), przy czym ci drudzy mają się rzekomo stopniowo zaminować we... współdziałalność wielkich koncernów. Pośrednia, choć może nie w pełni przewidziana, odpowiedź przyniosło badanie przeprowadzone przez Allensbacher Institut na zlecenie tutejszych DGB czyli związków zawodowych. Pytanie brzmiało: Jakże odnosi Pan (i) wrażenie — czy dzisiaj większość fabrykantów myśli o swoim osobistym zysku, czy też rozumie kategoriami społecznymi? 75 proc. robotników zatrudnionych w średnich zakładach i 83 proc. z dużych przedsiębiorstw odpowiedziało: — Myślą tylko o zysku.

Po drugiej stronie Łaby, tu i ówdzie, w kręgach działaczy związkowych, lewicowej społecznej, z kół intelektualistów, odzywają się głosy ostrzeżenia przed jawną i utajoną koncentracją kapitałów i środków dyspozycji. Niedawno na łamach niezależnego „Frankfurter Rundschau” pojawił się list, w którym niejaki 48-letni Karl Barnekow, wykształcony robotnik (w domu żona i dwoje dzieci) stwierdził, że: „Urlop spędzi z całą rodziną w ogródku działkowym, bo najtańszy nawet wyjazd poza dom już nie mieści się w jego budżecie obciążonym przede wszystkim kosztami za naukę dzieci oraz za mieszkanie”.

Krupp — junior nie znosi klimatu Europy. Najchętniej przebywa na Wyspach Kanaryjskich lub Bahama. I to nie tylko podczas swojego „urlopu”.

* * *

Okładkowa dziewczyna w maxi-mini-bikini zapowiadała urokli

dla twojego zdrowia... Słowem — normalny numer tygodnika „Stern” z normalnie gruntownie rozebraną dziewczyną na kolorowej okładce, w charakterze wabika dla starszych panów, którzy z różnych względów nie mogą lub nie chcą sięgnąć po takie periodyki jak choćby „Konkret”, który niedawno doniósł uroczystie, że „Seks umarł”.

Oczywiście, to był przypadek. Niemniej — na poczesnym miejscu tego samego numeru „Sterna” znalazłem bardziej niż ta seks-okładka interesującą publikację. Można by ją zatytułować: „KOMUNISTYCZNA REPREZENTACJA”.

O co chodziło?

To też był wynik wszechobecnej tutaj manii wielkiego przesłuchiwania — rozpisywania ankiet na różne tematy zgola zupełnie banalne lub bardzo istotne i poważne. W tym konkretnym przypadku „Stern” opublikował list 21 wyrobów pochodzących z krajów socjalistycznych, które zdaniem czytelników tego hamburskiego tygodnika zdobyły sobie uznanie na zachodniemieckim rynku. „Stern” w swoim komentarzu redakcyjnym dodaje ponadto, że: „swoją obecnością na zachodniemieckim rynku przyczyniają się one również do zahamowania procesów inflacyjnych w FRN”.

Być może. Dla mnie osobiście interesujące było, jak my, to znaczy polscy producenci, jak nasz kraj jest reprezentowany w tej „21”. Ścisłej mówiąc — ile i czym?

Pierwsze wrażenie — zupełnie przyzwyczajone. Na dwadzieścia jeden towarów z wszystkich krajów socjalistycznych łącznie z Jugosławią — sześć wyrobów z Polski. I tutaj pewne zaskoczenie: z tej naszej reprezentacyjnej szóstki tylko mrożone gęsi

Chyba po raz pierwszy zdarzyło się, iż w periodyku o wielomilionowym nakładzie, a więc i zasięgu czytelnictwa, zaprezentowano podobno szokujące dla przeciętnego mieszczucha w Bundesrepublikie zjawisko występowania na rynku, w największych domach towarowych i magazynach RFN wyrobów z krajów socjalistycznych. „Stern” tak kończy swoją publikację na ten temat: „Począwszy od ubrań męskich, a na tosterze skończywszy, można znaleźć w niemieckich domach towarowych i magazynach wysyłkowych tysiące artykułów konsumpcyjnych pochodzących ze Wschodu”.

* * *

W dzielnicy Alstertal, kilka kilometrów od centrum Hamburga rozłożył swoje olbrzymie pawilony jeden z największych domów wysyłkowych Republiki Federalnej — dom towarowy „OTTO”. Tutejszy szef recepcji i zarazem kierownik obsługi prasowej — Werner von Lewis of Menar informuje, że tylko ta jedna placówka przewidziana jest na obsłużenie 300 tys. mieszkańców dzielnicy Hamburga. Alstertal i jej magazyny, stoiska oraz biuro wysyłkowe są w stanie zaopatrzyć klienta w każdy niemal poszukiwany towar.

Rzeczywiście wszystko tu nowoczesne i pomyślane tak, by klient jeśli ma pieniądze mógł je wydać szybko i to nie tylko na ten towar, po jaki akurat tutaj przyszedł. Pytam mojego przewodnika, czy na półkach tego olbrzymiego sklepu — magazynu znajdują się towary pochodzące z Polski. — No oczywiście — pada odpowiedź.

Pan Werner von Lewis był nieco skłopotany udzielając mi odpowiedzi na to pytanie. No bo rzeczywiście: stwierdził przecież, że dużym powodzeniem i dobrą klasą cieszą się nie tylko produkty rolne pochodzące z naszego kraju, ale także wyroby przemysłowe.

Chodziłem po halach, przeglądałem poszczególne stoiska, grzebałem w sterkach rozłożonych na standach towarów. Muszę powiedzieć, że byłem rozczarowany. W ani jednym przypadku nie natrafiłem na choćby małeńki ślad, że trzymam w swoim ręku towar pochodzący z Polski.

Tak jest nie tylko w tym gigancie handlowym, jakim jest dom towarowy „OTTO”, który zresztą utrzymuje dobre kontakty handlowe z naszym krajem.

Jest to zjawisko zastanawiające jeśli się zważy, że faktem jest stały rozwój stosunków gospodarczych między krajami socjalistycznymi i Republiką Federalną Niemiec. Tylko na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat wzajemne obroty między Związkiem Radzieckim a Republiką Federalną i to nie tylko w towarach konsumpcyjnych, które ze Wschodu trafiały na zachodniemiecki rynek wzrosły w przypadku Związku Radzieckiego o 85 proc., Polski o 135 proc. Węgier o 160 proc., NRD o 156 proc.

W Izbie Handlowej miasta Hamburga, wśród złocień i mebli, pamiętających być może jeszcze hanzeatyckie czasy tego miasta, odpowiedziano nam na pytanie. To trudna, ale postępująca sprawa, że miasto Hamburg jest niezwykle zainteresowane dalszym rozwojem kontaktów z Polską i tylko w samym roku 1969 wymiana handlowa między Polską a Hamburgiem osiągnęła wartość 216 mln marek, a około 110 tys. ton różnych polskich towarów przeszło tranzytem przez port nad Łabą.

W firmie „Beyersdorf”, która wyspecjalizowała się w produkcji roz-



maitych lekarstw i kosmetyków, ma swoje filie w 30 krajach, mówiono nam z uznaniem o polskich kosmetykach, które nie są przesycone chemiczallami i w związku z tym w wielu przypadkach przewyższają swoimi właściwościami tutejsze wyroby.

Ale śladu polskich towarów, symbolu, że są z Polski nie tylko ja nie potrafiłem znaleźć w magazynach i sklepach Hamburga, Hannoveru, czy Berlina zachodniego.

Podobno jest to sprawa mentalności jak mi tłumaczono. Podobno wielkie koncerny handlowe boją się, że ich klienci nieufnie odwrócą się od stoisk, gdzie będą sprzedawane wyroby ze znakami firmowymi producentów z krajów socjalistycznych. Miałem możliwość zapoznać się z pewną opinią wyrażoną przez jedno z gospodarzy zachodniemieckich wydawnictw, które zajmują się szczególnie badaniami popytu na rynku. Podobno z tej ankiety przeprowadzonej wśród gospodyń domowych wynikało, że na 100 gospodyń 54 proc. wyraziło poglądy, że artykuły pochodzące ze Wschodu nie zasługują chyba na ocenę bardzo dobrą lub dobrą. Chyba.

Bo tak się jakoś dziwnie składa, że pozbawione znaków swojego producenta, a występując już pod firmą „Neckerman” czy „Karstadt” cieszą się ogromnym popytem i są traktowane jako wyrób własnego rodzimego zachodniemieckiego przemysłu.

Między Łabą i Renem wciąż jeszcze dają o sobie znać pewne utarte, narosłe latami stereotypy, niekiedy sztucznie, ale troskliwie pielęgnowane przez tych, którzy wszystko co dzieje się na wschód od Łaby traktują jako czarne (czytaj — złe), a na zachód od tej linii — białe (czyli dobre).

Można by się zapytać: kto się boli więc tutaj... czarnego luda?

Powiedzmy sobie szczerze — firmy zachodniemieckie zainteresowane są takim stanem rzeczy. Daje to im dodatkowy profil, a ponadto gdy trzeba łatwiej jest prowadzić walkę konkurencyjną z towarem, który wprowadził już występował na rynku, ale był pozbawiony firmowej twarzy, owego znaku rozpoznawczego. Sądzę, że ten stan rzeczy warto by zmienić. Warto by może też bardziej zainteresować się o reklamę polskich towarów na tym trudnym rynku, reklamę nowoczesną, przemawiającą do wyobraźni i kieszeni tutejszego nabywcy towarów konsumpcyjnych. Choć nie tylko o reklamę tutaj chodzi. Jeśli mamy robić interesy, do których zachęcał nas tak bardzo wszyscy rozmówcy, to robmy je z wzajemnością.

Być może wtedy na to pytanie Instytutu Badań Opinii Publicznej w Allensbach jeszcze mniej niżeli miało to miejsce w roku 1970 osób odpowie — nie warto.

A pytanie brzmiało: jak sądzisz czy warto rozszerzać kontakty gospodarcze z krajami socjalistycznymi?



nocego Morza, choć z wielkiego raportu — reportażu w środku wynikało niedwuznacznie, że większość rzek

jakos pasowały mi do utartego poglądu na rodzaj polskiego eksportu na niemieckie trudny i wymagający ry-

13 września 1944 r. 3 Brygada Armii Ludowej im. gen. Józefa Bema stoczyła jedną z największych bitew z wojskami hitlerowskimi w Ewinie koło Radomska.

Wieś Ewina leży w południowo-wschodniej części powiatu radomskiego. Zewsząd otaczają ją podmokłe lasy i rozlewiska. Rejon znajdujący się w pobliżu Ewiny opasane były w znacznym stopniu przez oddziały AL. Partyzanci kontrolowali ponad 20 km² terenu z zachodu na wschód — od Gidel do Kaluszy — i z północy na południe — od Żytyna do Wodolnika. Bagna i rozlewiska znajdujące się w rejonie Pławna, Wygody, Wylinc, Ojrzenia i Kofina, liczne strumyki i kanały odwadniające stanowiły przeszkodę naturalną dla czołgów, samochodów i piechoty nieprzyjaciela, natomiast sprzyjały położeniu i obronie partyzantów. Jedynym przejściem przez moczary była tzw. „Trytwa”, czyli po prostu wąska grobla, która przebiegała wśród bagna, ale w porze deszczowej zamieniała się w grząską topielisko.

Brygada AL im. gen. Bema, dowodzona przez mjr. Bolesława Borutę — „Hanicza” składała się z trzech batalionów. Ogólny stan brygady wynosił 600 ludzi, w tym 20 oficerów polskich i 7 radzieckich. Brygada była uzbro-

Radomska, Włoszczowy i Kielc, oddziały własowców i inne oddziały SS. Stan liczebny wojsk niemieckich wynosił około 15 tys. żołnierzy. Nieprzyjaciel dysponował czołgami, samochodami pancernymi, artylerią i moździerzami. Do walki z partyzanta-

PARTYZANCKIE BITWY

mi dowództwo niemieckie używało także samolotów. Niektóre z oddziałów hitlerowskich przeznaczonych do likwidacji partyzantów brały udział w tłumieniu powstania warszawskiego i posiadały doświadczenie bojowe. Skoncentrowane w Ewinie oddziały partyzanckie AL przed rozpoczęciem bitwy prowadziły intensywne rozpoznawanie. Sztab Brygady rozmieścił się w leśniczówce na skraju wsi. 12 września rozpoznano, że Niemcy szykują

materiałów wynika, iż sztab Brygady przewidywał atak wojsk niemieckich ze wszystkich kierunków równocześnie. Zdecydowano więc, że należy dopuścić piechotę nieprzyjaciela możliwie blisko, a następnie otworzyć do niego silny ogień z broni maszynowej, by zmusić ją do odwrotu lub zaniechania walki. Po wykonaniu tego zadania zamierzano wycofać Brygadę według ustalonego planu lub przejść do kontrataku i przebić się na ty-

ludzi. Partyzanci posiadali 19 moździerzy, 15 rusznic przeciwpancernych, 4 dział przeciwpancerne, 60 ciężkich karabinów maszynowych, 900 pistoletów maszynowych, 2000 granatów i broń ręczną.

W skład sił niemieckich w rejonie Gruszki wchodziły: brygada pancerna dywizji pancerniej „Wiking”, wydzielone oddziały dywizji „Waffen SS”, lokalne siły żandarmerii, pododdziały brygady kawalerii armii Własowa oraz

wadził ogień nekający artylerii i moździerzy. Wykorzystując tę sytuację mjr. „Zygmunt” zwołał kolejną odprawę dowódców brygady i batalionów, na której omówiono plan przebiecia się przez pierścień wojsk niemieckich. Ustalono, że początek akcji przebijania się nastąpi o godz. 19.00.

Tymczasem Niemcy rozpoczęli kolejne, gwałtowne ataki. Największy napór nieprzyjaciela skierowany był na odcinek wschodni, gdzie bronili się partyzanci radziecy. Silne ataki Niemcy skierowali także na odcinki obrony 2 Brygady oraz oddział im. Bartosza Głowackiego. Dzięki bohaterstwu partyzantów polskich i radzieckich ataki niemieckie zostały i tym razem odparte. Między godziną 15-tą a 16-tą Niemcy rozpoczęli kolejny szturm od strony wsi Dobrzeszów i mając zdecydowaną przewagę liczebną zdołali zepchnąć i batalion broniący tego odcinka i zająć wieś Gruszkę. Sytuacja coraz bardziej się komplikowała, gdyż w wyniku zajęcia Gruszki nastąpiło odcięcie części partyzantów od głównych sił 1 Brygady. Jednakże odcięta grupa, nad którą dowództwo objął por. Stefan Szymański „Góral”, zdołała obsadzić „Górę Langiewicza” i do końca bitwy w powodzeniu odparła ataki niemieckie. Pozostałe oddziały partyzanckie skupiły się w części lasu na północ i wschód od Gruszki, organizując tam doraźną obronę.

Kolejne ataki niemieckie wychodziły od północy, gdzie dościsnęli do lasu bronili pododdziały Brygady „Świt” i oddział im. Głowackiego. Pozytywnie partyzanci tworzyli tu półkolistą linię, przebiegającą połami pomiędzy skrajem lasu a wsią Mularzów. Przed atakiem Niemcy dokonali silnego przygotowania artyleryjskiego, które jednak nie spowodowało dużych strat wśród partyzantów i nie osłabiło ich gotowości bojowej. Rozpoczął się kolejny atak piechoty niemieckiej został odparty. Nie powiodły się również dalsze ataki nieprzyjaciela.

W nocy z 29 na 30 września partyzanci przerwali pierścień okrążenia wojsk niemieckich na wschód od Gruszki i przez utworzoną lukę przeszły wszystkie jednostki. Również partyzanci pod dowództwem „Górala” wyszli z okrążenia na „Górę Langiewicza” i w dwa dni później dołączyli do sił głównych 1 Brygady w pobliżu Świnie Góry.

Niemiecka operacja przeciwko partyzantom AL i partyzantom radzieckim w rejonie Gruszki zakończyła się niepowodzeniem. Siły partyzanckie nie zostały rozbite. Nieprzyjaciel ponosił dotkliwe straty: 360 zabitych, 900 rannych, zniszczono 4 czołgi, 1 samochód pancerny i 1 osobowy. W bitwie pod Gruszką prawdopodobnie zginął głównodowodzący operacją wojsk niemieckich, gen. Steinbock.

Straty partyzanckie wynosiły około 50 zabitych i około 70 rannych.

Dla uczczenia śmierci bohaterów partyzantów w bitwie pod Gruszką na skraju wioski znajduje się pomnik. Nie jest on tak okazały i dobrze zabany jak w Ewinie. Trudno to zrozumieć, bowiem bitwa w rejonie Gruszki zaliczana jest do największych bitew partyzanckich na ziemi kieleckiej.

Te wielkie bitwy oddziałów Armii Ludowej, stoczone we wrześniu 1944 roku w Ewinie i w rejonie Gruszki z wojskami hitlerowskimi, w których poniosły one dotkliwe straty, były istotnym wkładem w zwycięstwo nad faszysmem.

IAN POWAŁA



Fot. Archiwum

żona w 7 ręcznych karabinów maszynowych, 200 pistoletów maszynowych i 180 karabinów. Ponadto posiadała pewną ilość broni krótkiej. W skład uzbrojenia Brygady wchodziły także materiały wybuchowe i miny różnych typów. Oddziały AL, skoncentrowane w rejonie Ewiny, były dobrze wyszkolone, posiadały także doświadczenie bojowe zdobyte w walce z okupantem hitlerowskim. Na ich stan moralno-bojowy duży wpływ miały zwycięstwa Armii Radzieckiej i jednostek Wojska Polskiego nad hitlerowskim najeźdźcą. Poczucie siły w walce z okupantem umacniała ludność cywilna, która powszechnie, nie bacząc na terror i przesładowania, popierała partyzantów i udzielała im pomocy.

W skład sił niemieckich do walki z partyzantami w rejonie Ewiny wchodziła dywizja pancerna SS „Wiking”, oddziały policyjne i wojskowe ściągnięte z Częstochowy, Piotrkowa,

zakrojoną na szeroką skalę akcją pacyfikacyjną przeciwko partyzantom. Grupy rozpoznawcze ustaliły, że duże siły niemieckie zostały skoncentrowane w Świętej Annie i Maluszyńcu. Wykryto także, że obie szosy: Gidle-Żytyno i Żytyno-Rędziny Niemcy obsadzili swymi jednostkami wojskowymi i policyjnymi, okopując się przy brzegach lasów strzałkowskich. Nie było najmniejszych wątpliwości, że Niemcy niebawem przystąpią do ataku.

Po naradzie w sztabie Brygady postanowiono przyjąć walkę. Intensywnie przygotowywano do obrony poszczególne odcinki terenu. Grupy milnerskie otrzymały rozkaz zaminowania wszystkich ważniejszych dróg. Przygotowano także stanowiska ogniowe. Oficerowie sztabu zostali włączeni do korygowania i realizacji postawionych zadań. Z dostępnych

ły nieprzyjaciela, nie wychodząc jednak z lasu.

13 września o godzinie 10.30, wojska niemieckie ruszyły w kierunku lasu na wszystkich odcinkach. W pół godziny później znalazły się w odległości 1500 m od stanowisk ogniowych partyzantów, a o godzinie 11.30 podeszły na odległość 300-500 m od linii obronnych. Z chwilą otwarcia ognia nad lasem pojawiły się samoloty, rozpoczęła się walka.

Bitwa pod Ewiną trwała blisko 8 godzin, miała zacięty i krwawy przebieg. Nieprzyjaciel uderzał kilkakrotnie, dążąc do całkowitej likwidacji partyzantów. Jednakże, dzięki bohaterstwu partyzantów i przemyślanej taktyce walki, hitlerowcy nie zdołali osiągnąć zamierzonego celu. Zgrupowanie partyzanckie nie zostało rozбите. Nieprzyjaciel poniósł dotkliwe straty: 100 zabitych i 200 rannych. Ponadto Niemcy stracili kilka samochodów pancernych i czołgów. Straty Brygady wynosiły 18 zabitych i 11 rannych partyzantów.

Bitwa pod Ewiną miała istotne znaczenie wojskowe i polityczne. Partyzanci wzięli w walce znaczne siły nieprzyjaciela, odciągając część jego wojsk z nadbrzeżnej Wisły, gdzie jednostki radzieckie i polskie utrzymywały i rozszerzały przyczółki.

Bitwa pod Ewiną podniosła duch bojowy partyzantów i społeczeństwa polskiego, wykazała, że tylko przy pomocy walki zbrojnej można pokonać okupanta i wyzwolić kraj od najeźdźcy hitlerowskiego.

Spółeczeństwo czci pamięć bohaterów partyzantów AL, którzy oddali życie za wolność naszej ojczyzny. W Ewinie znajdują się dwa pomniki: jeden od mieszkańców wioski, odsłonięty 13.6.1948 r. i drugi od społeczeństwa ziemi łódzkiej wzniesiony w 20 rocznicę bitwy. Oba pomniki są bardzo starannie utrzymane, znajdują się na nich świeże kwiaty.

Największą bitwę z wojskami hitlerowskimi na ziemi kieleckiej stoczyli partyzanci AL i partyzanci radziecy 29 września 1944 roku w miejscowości Gruszkę, w powiecie koneckim. Gruszkę w czasie bitwy należało do III Obwodu Radomsko-Kieleckiego AL. Ukształtowanie terenu w rejonie wsi sprzyjało rozwojowi ruchu partyzanckiego.

W skład sił partyzanckich skoncentrowanych w rejonie Gruszki wchodziły: 1 Brygada AL im. Ziemi Kieleckiej pod dowództwem mjr. Henryka Polowianka — „Zygmunt”, Brygada AL „Świt”, Brygada AL „Wolność”, oddział AL im. Bartosza Głowackiego, oddziały partyzantów radzieckich: „Filuka” i „Anatola” oraz 1 kompania z 10 Brygady AL. Ogółem siły partyzantów liczyły 1300-1500

członkowie NSZ z brygady świętokrzyskiej „Bohuna”. W sumie siły niemieckie liczyły 12 tys. ludzi, dowodził nimi dowódca brygady pancerny gen. Steinbock. Podobnie jak pod Ewiną, wojska niemieckie posiadały czołgi, samochody pancerne, artylerię, moździerze i broń maszynową. Nieprzyjaciel miał także wsparcie lotnicze.

Z przedstawionego stosunku sił wynika, iż hitlerowcy mieli dziewięciokrotną przewagę w ludziach i spręcie bojowym. Jednostki niemieckie posiadały bogate doświadczenie bojowe, wiele z nich, jak oddziały dywizji „Waffen SS” były specjalnie szkolone do walki z partyzantami. Lokalne siły żandarmerii były dobrze zorientowane w terenie i także obeznane ze sposobami walki z partyzantami. Ponadto siły niemieckie uzupełniał groźny dla partyzantów element składający się z własowców i członków NSZ.

29 września nad ranem partyzanckie pododdziały rozpoznawcze donosiły, że nieprzyjaciel podciąga świeże siły i otacza las okalający zajmowane przez partyzantów wsie Gruszkę i Józwicków. Mjr Polowianka — „Zygmunt” objął dowództwo nad wszystkimi jednostkami partyzanckimi i w trybie alarmowym zwołał odprawę dowódców brygad i pododdziałów w celu omówienia zaistniałej sytuacji i podjęcia niezbędnych decyzji do działań. Podczas odprawy podjęto wspólnie decyzję utworzenia na terenie leśnego pierścienia, otaczającego wsie Gruszkę i Józwicków, obrony okrężnej i bronienia się na tych pozycjach do zmroku. Pod osłoną nocy zamierzano rozciąć pierścień wojsk niemieckich i wyjść z okrążenia. Zgodnie z podjętą decyzją oddziały partyzanckie rozmieszczono wzdłuż linii lasów otaczających Gruszkę i Józwicków.

O godzinie 8.00 Niemcy zaczęli wysyłać patroli rozpoznawcze, a o 9.00 rozpoczęli pierwszy atak na odcinku 3 batalionu 1 Brygady. Po kilkudziesięciominutowej zaciętej walce atak niemiecki został odparty, partyzanci zdołali uszkodzić jeden czołg nieprzyjaciela. W godzinę później silny atak niemiecki został skierowany na pozycję 2 batalionu 1 Brygady. W toku walki sytuacja stawała się coraz bardziej krytyczna, gdyż niemieckie czołgi zbliżyły się do skrajnej obrony batalionu. Po zaciętej walce, przy wykorzystaniu rusznic przeciwpancernych, przystanych w porę przez dowódcę brygady, zdołano odeprzeć atak nieprzyjaciela. Hitlerowcy stracili kilkudziesięciu zabitych i rannych oraz dwa czołgi.

O godzinie 11.30 Niemcy przerwali natarcie i w ciągu dwóch godzin pro-

STARE, NOWE ATENY

„Heroicznym tradycjonalistą” nazwał A. Makowiecki Imię Pana proboszcza firlejowskiego i dziekana rohatyńskiego K. Benedykta Chmielowskiego, zaś J. J. Lipski pisał o nim, jako o umyśle kuriozalnym, jak Don Kichot zaręczonym fikcją, godnym co najwyżej „honorowego tytułu Nikifora nauki polskiej”. Dla S. Kobylińskiego ogromne dzieło uczzonego proboszcza było po prostu zbiorem „prerażliwych humbuców”. „Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej sciencji pełna”, dzieło napisane — jak to widnieje w dalszym ciągu jego przeżalście długiego tytułu — „mądrym dla memoriału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki”, co najmniej od czasów M. Wiszniewskiego, który kładł podwaliny pod naukową historię literatury w naszym kraju, przez legion wybitnych i pomniejszych autorów było traktowane jako osobliwy symptom rozniecierzenia mózgu, bynajmniej nie tylko indywidualnego, autorskiego, ale kolektywnego, autora i jego licznych czytelników. Albowiem dzieło X. Benedykta było przez współczesnych chętnie i często czytane; jak pisał encyklopedysta sprzed stu lat: „Nowe Ateny” były tak popularną książką w całej Rzeczypospolitej polskiej, że znajdowały się w każdym domu szlacheckim, obok herbarzy, kronik ojczystych i słynnego kalendarza Duńczewskiego”. Książka stanowiąca mia-

re umysłowego upadku czasów saskich: taka ocena zapełniła karty opracowań podreczników i syntez dzieł naszej literatury, by utrzymywać się niemal bez zmiany aż po nasze dni. Dla J. Krzyżanowskiego jest więc ona „typowym okazem grafomanii naukowej” swej epoki, i jako taka została przedstawiona w ogłoszonym przed kilkoma laty przez krakowskie „Wydawnictwo Literackie” wyborze, dokonanym przez M. i J. J. Lipskich.

Tymczasem historycy, często sięgający z racji swych zainteresowań do tekstu „Nowych Aten” zrazu nieświadomie, potem już coraz głośnie, jeli wskazywać, że osławiona encyklopedia mądrości szlacheckiej z czasów saskich nie jest bynajmniej tylko steblem bezdur, że znajdują się w niej myśli wcale niegłupie, choć ubrane w konwencjonalną dla tej epoki, makaroniczną szatę językową i stylizację. Początek uczynili historycy gospodarczy, za nimi poszli inni. Przy dokładniejszym zapoznaniu się z tekstem X. Benedykta okazuje się nawet, że ów — jak o nim powiadano — bezkrytyczny entuzjasta złotej szlacheckiej wolności, pięjący zachwyty nad „bry-

lantowymi” jej fundamentami takim jak „liberum veto” oraz „libera regum selectio”, nadszpiewanie zgłaszał pewne pomysły reformatorskie, że ów ponoć najniekrytyczniejszy piewca narodowej chwały Sarmatów opisując dzieje Polski zdobył się na poglądy nie tylko sensowne, ale i krytyczne w stosunku do niektórych obiegowych wyobrażeń swych współczesnych, że jego świat ojczyznej historii nie wyrażał li tylko konserwatywnego sarmackiego tradycjonalizmu, ale starał się go poniekąd przewyczyć i usposobić szlacheckich czytelników do wcale nie bezkrytycznego rozmyślenia o własnej przeszłości i teraźniejszości. Przykładem sprawa mniemanego rokoczu gliniańskiego, legendy o rokoczu szlachty, który miał mieć rzekomo miejsce za panowania Ludwika Węgierskiego, do której ustawicznie odwoływali się apologeti szlacheckich wolności, nawet jeszcze w epoce Sejmu Czteroletniego. Najpierw B. Chmielowski powtórzył ją za swymi autorytetami, mianowicie za jezuitkim historykiem, autorem poczytnego podręcznika A. Kotuldzkim. Skoro jednak legendary charakter tej informacji został ujawniony przez J. A. Załuskiego — którego krytyczne wywody nie wszystkich oczywista przekonały — autor „Nowych Aten” nie omieszczał wprowadzić odpowiedniego sprostowania.

Halina Rybicka-Nowacka polemizowała z permanentnym „zaśmiesz-

niem” książki X. Benedykta jeszcze w 1967 r. na łamach „Przeglądu Humanistycznego”. Dziś szerzej przedstawiła swoje argumenty, a uczyniła to w książce, wydanej nakładem PWN (1974) jako 75 tom „Rozpraw Uniwersytetu Warszawskiego”, opatrzonej tytułem: „Nowe Ateny Benedykta Chmielowskiego. Metoda, styl, język”. Bylibyśmy w błędzie, gdybyśmy sądzili, że H. Rybicka-Nowackiej chodzi o jakąś integralną „rehabilitację” autora „Nowych Aten”, że zamiast modelowego obskuranta prezentuje ona na kartach swej pracy integralnego rzeczownika postępu i jakiegoś prekursora nowatorstwa Oświecenia. Nic z tych rzeczy: nie chodzi tu o to, aby schematowi „czarnemu” przeciwstawić „różowy”, ale o to, by w dyskusji z dotychczasowymi ocenami zaproponować bardziej adekwatny, pozbawiony bezzasadnych w tym wypadku skrajności poglądów ogólnych na dzieło, które budziło dotąd tak wiele kontrowersji. „Sądze — powiada w jednym miejscu autorka — że nie odmawiając Chmielowskiemu artyzmowi, należy większy akcent położyc na nie docenianą dotychczas inteligencję autora „Nowych Aten”, i to właśnie stara się zrealizować w swej książce. Z perspektyw własnych, skromnych w porównaniu z autorką, zainteresowań badawczych dziełem X. Benedykta przynam, że wnioskami, sformułowanymi przez H. Rybicką-Nowacką wydają mi się przekonywujące. Encyklopedia B.

Chmielowskiego mimo wszystkich swych dziwaczności, rzucających się w oczy dzisiejszemu jej czytelnikowi, była w swoim czasie dziełem bynajmniej niekuriozalnym, wcale niesredniowiecznym jeszcze z ducha; nawiązywała nie tylko do zdobytych renesansu, ale i najnowszej literatury. „Na korzyść Chmielowskiego, który przecież cieszył się poparciem Załuskiego i dobrą opinią współczesnych pisarzy, żeby wymienić chociażby E. Drużbacką, przemawia (...) fakt zainicjowania i doprowadzenia do końca przedsięwzięcia naukowego, które nie miało precedensu w dotychczasowej literaturze”. „Nie zamierzam bronić pozycji straconych — powiada autorka — i twierdząc, że dzieło księdza Chmielowskiego jest postępowe: w sensie społecznym niewątpliwie mieści się ono w granicach ortodoksji katolickiej, na ile jednak współcześnie ukazującej się literatury popularnonaukowej (...) wyróżnia się dodatnio zarówno rzetelnością przedstawienia zagadnień, jak również interesującą przeprowadzoną narracją”. „Nowe Ateny” ukazały się za wcześnie, by zareagować na prądy Oświecenia, ale przesada jest sądzić, że „utrwały one tylko przesydy i ciemnotę ówczesnej szlachty”, bowiem fantastyka mieszała się w nich z „naukowo udokumentowanymi i interesującymi podanymi wiadomościami o świecie”.

LEKTOR

Ostatnim akordem trwających prawie pięć lat prac nad ekranizacją „Potopu” wg powieści Henryka Sienkiewicza było wykonanie rekordowej ilości 70 kopii na taśmie zwykłej, 35-milimetrowej, oraz 5 na superpanoramycznej 70. Umożliwia to jednoczesne wyświetlanie filmu w 75 kinach mogących pomieścić łącznie na jednym seansie 200 tys. widzów.

W październiku Łódzkie Zakłady Wytwórcze Kopii Filmowych wykonują na „zwykłej” taśmie z laboratorium Wytwórni Filmów Fabularnych na superpanoramycznej, kopie drugiej serii filmowej wersji „Potopu” wg oryginału dostarczonego przez reż. Jerzego Hoffmana. Czas wyświetlania obu serii zajmie 5 godzin.

Niezależnie od opinii krytyków, nie ulega wątpliwości, że filmowy „Potop” stał się ważnym wydarzeniem w dziejach krajowej kinematografii. Pod względem rozmachu prac realizatorskich z powodzeniem konkuruje z najgłośniejszymi supergigantami kinematografii światowej.

Dość przypomnieć, że do „Potopu” zaangażowano blisko 400 aktorów i kilkanaście tysięcy statystów, wykonano 23 tys. rekwizytów, nie licząc setek oryginałów wypożyczonych ze zbiorów na Wawelu, muzeum Czartoryskich i jasnogórskiego klasztoru.

Żadne jednak zestawienia sprawozdawczo-statystyczne nie są w stanie oddać 5-letniego trudu realizatorów, zmagających się już nie tylko z możliwie najlepszym i najtrafniejszym „przykrojeniem” powieści dla potrzeb srebrnego ekranu czy kłopotami organizacyjnymi, ale do tego nieustannie odczuwających przegląd opinii publicznej, bacznie obserwującej poczynania reż. Jerzego Hoffmana i jego ekipy. Każdy z licznych miłośników „Potopu” Hen-

ryka Sienkiewicza wszak pragnąłby zobaczyć teraz żywy obraz mistrzynie zbudowany we własnej wyobraźni. To nie, że przed „Potopem” aż 21 filmów zrealizowano na podstawie powieści i utworów sławnego pisarza. „Potop” przecież zajmuje szczególną pozycję, to książka najlubiętsza i najbardziej czytana. Zapomina się więc, że pełna ekranizacja musiałaby stworzyć film, którego wyświetlanie zajęłoby całą dobę. Od twórcy filmowej wersji powieści nierzadko oczekuje się uwzględnienia wątków nierzadko drugoplanowych i nielotnych, ale za to mocno tkwiących w pamięci ukształtowanej przez pisarza.

25 listopada 1971 roku „Kurier Polski” informował: „W piątek wieczorem

Przejrzymy je wszystkie z uwagą i chyba w ciągu najbliższego miesiąca dokonamy ostatecznego wyboru. Nie możemy zbyt długo zwlekać ze względu na harmonogram zdjęć. Trzeba przecież wcześniej uszyć Oleńce kostiumy...”

— Tak. O szczegółach trudno mi mówić, bo właściwie nie było czasu, aby je przedyskutować z reż. Hoffmanem. Chciałbym, aby rola Oleńki, która dla mnie jest symbolem Polski godnej pie-

przerwy między kolejnymi ujęciami. Najbardziej okazały kostium do sceny obiadu u Radziwiłła dopiero się szyje. Będzie to czarna sukienka z rypsu i aksamitu. Ma ważyć aż 10 kg... Jako Oleńka będę miała jeszcze dwa inne stroje, mniej reprezentacyjne.

Na planie „Potopu” Małgorzata Braunek zdaje się nie przypominać żadnej z wcześniej granych postaci w różnych filmach — zanotowałem wtedy swoje spostrzeżenie.

— Wiem, że wielu miłośników powieści Henryka Sienkiewicza zaskoczyła decyzja reż. Jerzego Hoffmana o powierzeniu mi roli Oleńki Billewiczówny — zwierzyła się aktorka jakby odgadując pytanie, które musiałem jej nieuchronnie zadać. — Sądzę, że zastrzeżenia dotyczą nie tyle mojej prezencji co postawy i cech charakteru przypisywanych mi na podstawie moich wcześniejszych ról, a chyba najbardziej na podstawie mojej roli w „Polowaniu na muchy” reż. Andrzeja Wajdy. Większość widzów zdaje się sądzić, że mam zimny charakter, najzupełniej nie pasujący do roli Oleńki. Ale ja po prostu grałam tak, jak żyć sobie tego reżyser. W rzeczywistości jestem inna. Nie wstydzę się przyznać, że ostatnio szczerze się rozplakałam oglądając „Love story”. Uważam siebie za sentymentalną i skorą do wzruszeń. Taką opinię o mnie podziela również mój mąż...

— Jaką Oleńkę pani pokaże na ekranie?

— Jeszcze raz przeczytałam „Potop”. Autor z taką dokładnością nakreślił postać, że właściwie nie ma miejsca na interpretację aktorską. Wszystko jest

KONRAD TUROWSKI UTOPIONE MARZENIA...

wyjechali z Łodzi do Mińska dwa ciężarowe „Stary” z kamerą filmową, aparaturą do nagrywania dźwięku, kostiumami i rekwizytami do filmowej wersji „Potopu”. 45 km od stolicy Białorusi wybudowano dekorację przedstawiającą wieś Wolomontowice. Na jej nie będzie nakreślona scena powrotu z wojny chorągwi laudańskiej. W powieści Henryka Sienkiewi-

Od tej rozmowy minęło jeszcze pół roku, gdy niecierpliwie oczekująca na wiadomość o decyzji w sprawie Oleńki opinia publiczna mogła dowiedzieć się... Kmicie wciąż czeka na Oleńkę.

W styczniu 1972 roku wydawało się, że już dłużej zwlekać nie można. W lutym miały być kręcone pierwsze sceny z udziałem Oleńki. „Według wiarygodnych informacji reż. Jerzy Hoffman — pisali gazety — zdecydował się na powierzenie roli Oleńki studentce I roku Wydziału Aktorskiego łódzkiej szkoły filmowej. Kandydatka jest dziewczyną filigranowej budowy, o drobnych rysach twarzy i dużych piwnoczerwonych oczach. Ma długie jasne włosy spięte w kok...”

Ale to jeszcze nie była Oleńka Billewiczówna. Wytrawni reporterzy wiedzieli, że reżyser może wybrać inną kandydatkę. Znalili nazwisko łódzkiej studentki. Nawet z nią rozmawiali. Zawodowa sumiennosc jednak nakazywała powstrzymanie się przed publikowaniem jej nazwiska...

I wtedy, dokładnie 30 stycznia wybuchła prawdziwa „bomba” na pierwszej stronie pewnego dziennika lokalnego: „Oto Oleńka z „Potopu” — głosił wielki tytuł do informacji ilustrowanej zdjęciem łódzkiej studentki. I choć niewątpliwie dyskusje nie ustają, bo każdy ma inne wyobrażenie o tym jak wygląda Oleńka, my ufamy reżyserowi filmowego „Potopu” Jerzemu Hoffmanowi. On wie lepiej. A pani J. ma rzeczywistość „piękność białego kwiatu...” — puszczal wodze swej fantazji autor notatki.

Stała się rzecz nie mająca precedensu chyba zarówno w dziejach polskiej kinematografii jak i polskiej prasy. Przedstawiciel owego dziennika jął na własną rękę lansować własną kandydatkę. Nie dość mu było jednej publikacji. I lutego zamieścił „kolejny portret Oleńki Billewiczówny, a 7 lutego całą serię pięciu zdjęć tej samej dziewczyny. Aby było „ładniej” fotografie opatrzył cytatami z powieści Henryka Sienkiewicza...

Podając do publicznej wiadomości imię i nazwisko jednej z kandydatek do roli Oleńki, chciał widocznie zademonstrować wreszcie w całej okazałości swoje zawodowe umiejętności i osiągnąć upragniony sukces na miarę większą niż grono jego najbliższych znajomych. Spodziewał się, że reż. Jerzy Hoffman ugnie się być może w obliczu potęgi jego nazwiska i zaakceptuje decyzję, którą z taką łatwością podjął nawet słowa nie zamieniając z najbardziej zainteresowanym.

Co więcej, nigdy nie zdobył się na odwagę przeproszenia czytelników i dziewczyny, do której przygłębno przezwiśko „Oleńka”, choć przecież nieczym sobie nie zasłużyła na ośmieszenie w środowisku. Pocięła może być jedynie to, że już nigdy więcej ów dziennik nie wtrącał się ani do realizacji „Potopu” ani innych filmów...

— Dosłownie przed chwilą — powiedziała mi Małgorzata Braunek 14 lutego 1972 roku — zapadła ostateczna decyzja i reżyser Jerzy Hoffman powierzył mi rolę Oleńki. Cieszy mnie ta propozycja choć nie przyjąłem jej od razu. Wydawało mi się, że nie zdołam poradzić obowiązków młodej matki z udziałem w realizacji filmu. Miał też wątpliwość dyr. Adam Hanuszkiewicz, który powierza mi dużą rolę w „Procesie” Kalki...

— Wszystko jednak udało się pomyślnie rozstrzygnąć i zagra pani Oleńkę?

destału, wypadła jak najlepiej. Jednocześnie chciałbym, aby to była inna rola od tych wszystkich, które dotąd grałam. Zdam sobie sprawę, że podjęłam się niełatwego zadania. Na pewno będę pod surowym ostrzałem licznej rzeszy miłośników powieści Henryka Sienkiewicza pragnących zobaczyć na ekranie portret dziewczyny wymarzonej na podstawie lektury „Potopu”...

To była wypowiedź zanotowana na gorąco. Zaraz po podpisaniu umowy. Aktorka zdążyła przed chwilą wrócić z Zespołu Realizatorów Filmowych, gdy zadzwonił telefon. Nie ukrywała swego zaskoczenia. Nie spodziewała się, że tak szybko wiadomość o decyzji reż. Hoffmana wydobędzie się z gabinetu, w którym podpisano umowę. Niestety, więcej czasu nie mogła na rozmowę poświęcić. Zbliżała się pora karmienia kilkumiesięcznego Marcina...

Pierwsze spotkanie Kmicica z Oleńką miało nastąpić na planie w Mińsku. Nikt jednak nie mógł przewidzieć, że na przełomie lutego i marca nie będzie tam śniegu. Aura spłatała figla. Z planów realizatorów „Potopu” sfilmowania w tym właśnie czasie scen plenerowych — m. in. wielkiego kuligu, nic nie wyszło. Zamiast śniegu i mrozu była ładna wiosenna pogoda, nie nakreślono więc ani jednego metra taśmy.

Dopiero 21 marca w łódzkim atelier „Klasy” nr 142 był jednocześnie pierwszym z udziałem Małgorzaty Braunek w roli Oleńki Billewiczówny. Kręcono go na tle dekoracji przedstawiającej wnętrze jadalni dworku w Wodoktach. Spotkanie pary bohaterów odbyło się przy suto zastawionym stole. Kmicie zjadł z apetytem, bodajże pieczone, a Oleńka sumiennie pilnowała, aby niczego mu nie brakowało na talerzu...

Podobnie jak w książce, również w filmie miała to być jedna z początkowych scen.



Charakterystyka i duża do ziemi sukienka z ciężkiej materii znacznie zmieniły prewencję popularnej aktorki młodego pokolenia. Charakterystyczny nieco rozjaśnił jej włosy, dopięli też długie owinięty wierzszą krawką, warkocz. Dodatkowo do sukni welnianej dyskretnie przetykanej złotą nicią był naszyjnik z dużym krzyżem.

— To mój codzienny strój w „Potopie” — powiedziała aktorka gdy siedliśmy przy stoliku w hallu na pierwszym piętrze, korzystając z chwilowej

gotowe. Będę się starała wiernie przestrzegać wzorów i intencji zawartych w powieści. Pragnę, aby jak najlepiej się to udało...

W początkach maja 1972 roku, gdy ekipa reż. Hoffmana kończyła zdjęcia atelierowe i przygotowywała się do wyjazdu w plenery, m. in. w okolicy Rawy Mazowieckiej a później Mińska i Kijowa, zanotowałem: „Wywołano już część taśmy filmowej, na której utrwalono zdjęcia z udziałem Małgorzaty Braunek w roli Oleńki. Reż. Jerzy Hoffman po obejrzeniu tych materiałów



był zadowolony. Według opinii osób mających możliwość oglądania zrealizowanych już materiałów filmowych do „Potopu” doskonale wypadł w roli Kmicica Daniel Olbrychski. Gra on mimo dokuczliwej kontuzji kolana. Doznał jej jeszcze w Mińsku, gdy jego koń pośliznął się i upadając przygniół mu nogę. Nie dał poznać po sobie bólu, nawet wówczas, gdy musiał paść na kolana przed Oleńką...”

Zdjęcia autora.



ryka Sienkiewicza wszak pragnąłby zobaczyć teraz żywy obraz mistrzynie zbudowany we własnej wyobraźni. To nie, że przed „Potopem” aż 21 filmów zrealizowano na podstawie powieści i utworów sławnego pisarza. „Potop” przecież zajmuje szczególną pozycję, to książka najlubiętsza i najbardziej czytana. Zapomina się więc, że pełna ekranizacja musiałaby stworzyć film, którego wyświetlanie zajęłoby całą dobę. Od twórcy filmowej wersji powieści nierzadko oczekuje się uwzględnienia wątków nierzadko drugoplanowych i nielotnych, ale za to mocno tkwiących w pamięci ukształtowanej przez pisarza.

Trudno się przeto dziwić, że wszelkie informacje dotyczące prac nad ekranizacją „Potopu” obiegaly prasę jak Polska długi i szeroki, rozpalałac namietność. I to od pierwszych chwil, gdy tylko podjęto prace nad przygotowaniem scenariusza.

Po długich dyskusjach publicznych, nie zawsze przy tym utrzymanych w powściągliwym tonie, nad powierzeniem roli Andrzeja Kmicica Danielowi Olbrychskiemu, reż. Jerzy Hoffman zwrócił z wyborem Oleńki Billewiczówny. Dziś, gdy spory i właśnie wokół obsady Andrzeja Kmicica wygasły, bezspornym wydaje się, że wywołała je popularność wybitnego aktora. Bez mała trzy lata temu dla większości widzów był on Azją z „Pana Wołodyjowskiego”. Wiadomo, że ma zagrać całkowicie odmienną postać, niemal wywołaną w narodowej wyobraźni, musiała wywołać wtedy prawdziwy szok...

Reż. Jerzy Hoffman jak mógł unikał odpowiedzi na pytanie: — Kto zagra Oleńkę?... Aż do ostatniej chwili, gdy dalsza realizacja materiału zdjęciowego bez Oleńki, była wręcz niemożliwa.

— Chciałbym — mówił mi reż. J. Hoffman w wywiadzie dla Agencji Publicystyczno-Informacyjnej — aby Oleńka odpowiadała wyobrażeniom większości czytelników dzieła Henryka Sienkiewicza. Nie jest to łatwe zadanie. Do trafnego obsadzenia roli przywiązujemy dużą wagę. Mamy już obsadzone wszystkie role męskie z Danielem Olbrychskim jako Kmicicem na

ca ten epizod nie zajmuje wiele miejsca, ale reż. Jerzy Hoffman postanowił poświęcić mu więcej uwagi ze względu na wartości wizualne.

W scenie tej wystąpią m. in. Tadeusz Lomnicki jako pan Wołodyjowski oraz Joanna Lothe, Anna Seniuk i Ewa Szyskulska w rolach siostrzeńców. Wciąż nie obsadzona jest rola Oleńki Billewiczówny...

Kandydatkę do roli Oleńki starano się wybrać spośród ok. trzech tysięcy dziewcząt, które najczęściej same zgłosiły się do realizatorów. 80 zakwalifikowano do próbnych zdjęć. Były to dziewczęta w wieku od 20 do 25 lat, część studiowała w wyższych szkołach aktorskich. Wśród kandydatek było też sześć aktorek znanych już publiczności z wielu filmów, nagradzanych za kreacje aktorskie na festiwalach krajowych i międzynarodowych. Zdecydowana większość stanowiły jednak debutantki. Reprezentowały najrozmaitsze typy urody. Zdjęcia próbne obejmowały przed kamerą wybrany fragment dialogu Oleńki z Kmicicem w Billewiczowskim dworze...

— Jakim warunkom musi odpowiadać kandydatka, którą pan wybierze? — zapytałem wtedy reż. Jerzego Hoffmana.

— Na pewno musi być młoda i ładna — odpowiedział dodając: — nie uważam, aby tej roli nie mogła zagrać aktorka znana już publiczności z innych filmów.

„...Płomień oświecał jej białą twarz i poważne, błękitne oczy, patrzące spod brwi czarnych. Była to urodziwa panna o płowych włosach, bladawej cerze i delikatnych rysach. Miała piękność białego kwiatu” — taki portret Oleńki nakreślił Sienkiewicz. Czy filmowa Oleńka może być brunetką?

— Charakterystyczny — rozwił wątpliwości reżyser — na pewno sobie poradzą z takim kłopotem. Każdej dziewczynie, która zaprezentuje najtrafniejszy sposób interpretacji roli Oleńki potrafimy nadać typ urody odpowiedni dla filmowej wersji „Potopu”.

— Kiedy więc zapadnie decyzja? — Zdjęcia próbne już się kończą.

I.

Z Kozienic do Swierż jest 12 km, autobusy jeżdżą co godzinę, większość pod samą Elektrownię, ale często rozkład się kićka i ludzie klną, stojąc w deszczu przy ul. Kochanowskiego w oczekiwaniu na zapóźniony gdzieś autobus. Dotarłem z opóźnieniem na miejsce, idę przez pusty, piaszczysty rynek, z pochylonym drewnianym krzyżem pośrodku i przycupniętym na skraju kościółkiem; do rynku dochodzą stodoły o szesnastu, wypaczonych deskach, pod jedną ze ścian stoi biały trabant; przed obeliskiem, nad którym sterczy antena telewizyjna osadzona na wielkim, okorowanym drzewcu sosnowym, wdały się w pogaduszkę dwie stare kobiety.

— No, idę już — mówię jedna — bo trza krowę wydoić. Jak te wyjcie zaczęła bucieć, to się bydlę stracha i mlaka nie daje.

Skwira z KP załatwił mi telefonicznie nocleg, pytam więc, jak bym nie widział tych bloków za stodołami, gdzie mam iść. Siwa kobieta w chustce w grochy marszczy poczerwieniałą twarz.

— Ady przecie widać ten kolorowy bajzel, czy pan masz cztery, a tych kolchozowych bud dla waryjatów pan nie widzi?

Ochodzą zagniewana i zaczyna przecierać szmatą trabanta. Z okna głos, zapewne syna:

— Mówiłem matce, żeby się zająć krową, nie?!

Dochodzę do małego, wyszklonego pawilonu handlowego. Miejscowi stoją, niektórzy przysiadają na murku wystawowym; szyba udekorowana kartką „sprzedaż mięsa odbywa się we wtorki i czwartki”!

— Co pan chcesz — mówi chłopak w zielonym kasku „Beton-Stalu” — gdyby nie Elektrownia, to by i tego nie było. Wiadomo — „strefa zielona”, a ponadto tych w blokach hotelowych dwa razy więcej niż ludzi we wsi. Te bloki, proszę pana, to zupełna nowość, nasz Zieliński (dyr. Generalnego Wykonawstwa — przyp. R. B.) wytarował je w Mitregi. Zawsze robiło się dla budowlanców baraki, nie, a Zieliński kazał stawiać bloki; niewielkie, czteropiętrowe, trzy, cztery mieszkania na kondygnacji, ale zawsze mieszkania, i to wyposażone we wszystko: łazienki z ubikacją, c.o., lodówki, pralki, kucharki z butlą gazową, nawet telewizory. Mieszkają tam całe rodziny, obok nich samotni, starsi i młodzi, wielu „przelotowców” wykonujących na budowie pilne roboty przez kilka dni albo kilka tygodni. Kiedy my odjeżdżamy, w blokach zamieszkają pracownicy Elektrowni.

W bloku nr 1 portier już wie, że będą tu mieszkać.

— Zajmie pan pokój gościnny, przez ścianę z klubem „RUCHU”, ale wpisze pan wszystko, co trzeba, do tej książki, bo mnie nie za bardzo idzie, dwie klasy aby skończyłem...

Stodoły, krzywy krzyż wetknięty w piasek, a potem, już od tego pawilonu handlowego jakby w łeb strzelił — Elektrownia. Za blokami

się wśród nich kołująca rybitwa; te kominy nie dymią, kiedy trzeba paleniska zasilić płynnym mazutem, to trochę kopci, a tak to nawet nie słychać Elektrowni; w pokoju sekretarki, gdzie czekam na rozmówców, odbywających akurat naradę partyjną, cisza; za oknem świergocą ptaki, przecinające przestrzeń nad wielkim placem,

Wisłą, opierając się na Wiśle jako źródło wody chłodzącej.

— Dlaczego wybrano właśnie Swierż Górne?

— Było 14 terenów lokalizacyjnych. Porównując nakłady inwestycyjne, roczne koszty eksploatacyjne i wskaźniki efektywności inwestycji, wybrano lokalizację ogólną, która została

malny i slega nieużytków po obu brzegach Wisły. Ale ja już chyba dość się nagadałem. Tak, pobiliśmy ten rekord; Jan Mitrega napotykał na ogromne trudności, nawet na publiczną krytykę swych decyzji, a potem okazało się, że w stosunku do zatwierdzonego projektu wstępnego, blok I oddano do eksploatacji o 4

dział portier — to jest dobrze, ale te samotne, co tylko przez parę dni siedzą, psują i o nic nie dbają.

— Przez takich pewnie napsuje sobie pan nerw, co?

— Różnie bywa, sam się pan jeszcze przekona...

Napomknął, że dziewczuki i pijactwo, ale to zwyczajne; ten i ów coś ukradnie, jeden drugiego wyrzuci przez okno, takie już życie, hotelowe, można o tym napisać cały reportaż.

— Gdyby nie przyszła Elektrownia, co pan by robił?

— Pewnie siedziałbym u dzieci na wycugu, bo roboty tutaj nie było żadnej...

Przysiadłem nad udostępnionymi dokumentami i fachowymi pismami, aby skonfrontować zawarte tam informacje z tym, co usłyszałem w Elektrowni. Wiem już, że w Kozienicach trwają prace na blokach VII i VIII, w ramach drugiego etapu budowy; w lutym odbyły się konsultacje ze stroną radziecką na temat rozwiązań technologicznych dwóch bloków po 500 MW każdy. Z Kozienicami „ścigają się” inne miejscowości: w „Dolnej Odrze” zaawansowany montaż bloków nr 2 i 3, oddano do użytku VIII blok w Patnowie, zakończył się I etap budowy elektrowni w Rybniku, ruszyły prace górnicze przy budowie w Porąbce.

Zainteresowała mnie sprawa ludzi, którzy się nie „polamali” i w jednym z fachowych pism znalazłem długą listę, 140 nazwisk tych, którym na wniosek kierownictwa resortu górnictwa i energetyki Rada Państwa nadała ordery i odznaczenia państwowe, wśród nich m. in. mgr Franciszek Wdowiak — kierownik magazynu inwestycyjnego, Władysław Kasjanik — maszynista maszyn ciężkich, Tadeusz Lis — monter remontu kotłowni, Stanisław Jarosz — elektro-mechanik; dekoracji dokonywał Edward Gierak, Piotr Jaroszewicz, I sekretarz KW i wojewoda kielecki. Szczepkowski wyjaśnił mi potem, że on osobiście przywiózł samochodem te Krzyże Oficerskie, Kawalerskie, Złote, Srebrne i Brązowe, razem 250 orderów i odznaczeń.

Nie siegałem później do tej listy, bo w Kozienicach na wyróżnienie zasługują każdy i o każdym z ludzi, których poznałem, można napisać kilka reportaży. Choćby taki mistrz turbin remontu, Ryszard Lipiński, który jako stażysta w Koninie siedział beczynnie w wysokiej temperaturze, pracował bowiem w brygadzie awaryjnej, a awarie trafiały się rzadko, więc się wnerwił, bo lubił ostre tempo w robocie, i poszedł remontować urządzenia w cementowniach w Legnicy; mieszkania nie miał, w Koninie mógł otrzymać, więc wrócił jako syn marnotrawny, a że posiadał uprawnienia spawalnicze, skierowano go do działu centralnego; zastąpił tam chorego kolegę i wtedy „wzięło” go wreszcie; pracował przy podgrzewaczach wysokopiętnych, ciężka, słowa robota, podciągał go, doradzał jak ojciec mistrz Rola i już przy drugim remoncie Lipiński pracował jako brygadzysta, a że turbinę poznał dogłębnie, wychowuje i uczy dziś nowych monterów.

Albo taki Stefan Czaplicki, obchodowy urządzeń pomocniczych nawęglania, który przez dwie kadencje był... przewodniczącym GRN w Sarnowie; zlikwidowano radę gromadzką, przewodniczący przyszedł do Kozienic, szybko opanował nowy zawód i wcale nie żałuje, bo zarabia dwa razy tyle, co za biurkiem; Tadeusz Michalak, mistrz remontu pompy, wspomina, że jego pierwszej pracy towarzyszyła iście frontowa atmosfera, ludzie nie ufali sobie, nie wiadomo było, kto przyszedł budować, a kto robić sabotaż na tej pierwszej powojennej budowie elektrowni „Michalowiec”; dziś jest inaczej, urządzenie sprawniejsze, mniej awarii, ale ludzie Michalaka w trudnych momentach pracują po 12 godzin, bo, jak mówią, będzie można solidnie odpocząć dopiero po zakończeniu budowy w Kozienicach...

Za oknami dopałał się wieczór, ożywiła się zielen w świetle elektrycznych lamp, wysoko, ponad wieżę kościółka w Swierżach zapłonęły czerwone oczy światełek ostrzegawczych; ulica szedł człowiek w kasku pogryzając owiniętą w gazetę „angielkę”, pod pachą ścisnął butelkę mleka; na piaszczysty deptak i do lasu wysuwały się pary, w pobliskim bloku hotelowym ktoś męczył na organach elektrycznych „Pola zielone” i najnowszy przebieg z filmu „Ojciec chrzestny”; zabili dzwony w kościele, młodzi chłopcy ścigali do klubu „Ruchu” na kolejny odcinek „Al Capone”...

O 23.00 obudziły mnie tupoty na schodach, trzaskanie drzwi, spłoszone czastuchy, wrzask dzieci, jakieś kłatwy, chichoty; ktoś uśmiechnął portiera na jednosio, ale ten wymawiał się: „Nie wypada, panie, nie wypada, gość tu jest taki jeden”...

O północy drzwi zadrzęły pod pięściami i portier dokwaterował mi dwu gości. Młodszy zwracał się do starszego per „Hippies”, bo ten był zupełnie tysy. „Hippies”, który okazał się brygadzystą prowadzącym wraz z tym młodszym koparkę z Lublina do Warszawy, tłumaczył, że nie chcieli mnie budzić, ale pewnie i tak nie spałem przez te wrzaski.

Chłopaki pociągają, bo była premia — powiedział. — Jak nie ma premii, też pociągają, zwłaszcza te cwaniaki, co tylko patrzają, jakby coś machnąć na lewo. Nie ma, proszę pana, budowy bez kradzieży. Jeden strażnik opowiadał mi na Śląsku, że przyuważał wyrzuconą za siatkę szlifierkę.

RYSZARD BINKOWSKI

Świat wywrócony DO GÓRY NOGAMI

podzielonym na parkingi i liczne stanowiska autobusów, odjeżdżających do Kozienic, Warki, Radomia, Kielc, Puław, Zwoleń.

Sekretarka, kwitująca blond dziewczę, rajcuje przez tubkę, umawiając się na lokalny jajcynbał. Nagle, przypomniawszy sobie o mojej obecności, rzuca słuchawkę i mówi:

— Ptaszki ptaszkami, proszę pana, ale jak trzasa zawory, zwłaszcza nocą, to tak beknie, że z łózka można spaść; w każdym bądź razie szpilki syją się z drzew, ale to rzadko bywa, tylko że na podrzędniejszych stanowiskach; na mieszkanie nie bardzo mogą liczyć, ponieważ otrzymują je w pierwszej kolejności ścigani z Polski fachowcy, a ci z wioski i z Kozienic, jeśli mieszkają w wyjątkowo trudnych warunkach.

II.

Dyrektor d.s. eksploatacji, Tadeusz Zborowski, rzucił na wstępie:

— Pan wie, że ta Elektrownia jechała na tzw. „wariackich papierach”? To był rok 1968, proszę pana, u góry nie zgadzano się na tę inwestycję; Mitrega był jednak ministrem, który się nie łamał, oparł się wszystkim atakom i przeforsował sprawę budowy. Przecież trzeba było rzucić w te piaski kawał przemysłu, bo inaczej ziemie te straszłyby jeszcze do roku dwutysięcznego zrupieciałym skansenem. Było to konieczne i z tego względu, że w środkowo-wschodnich rejonach kraju, a więc w województwie kieleckim, lubelskim i południowej części województwa warszawskiego, łącznie ze stolicą, zaznaczał się deficyt energii elektrycznej. Trzeba

zatwierdzona w 1966 r. W następnej fazie przystąpiono do wyboru lokalizacji szczegółowej. Decydowały tu m. in. takie czynniki, jak bliskość magistrali kolejowej ze Śląska, nieprzekraczanie Wisły, czyli jej lewy brzeg, wartość gleb, a tym samym koszty przyszłych wywłaszczeń itp. W lipcu 1966 r. Zjednoczenie Energetyki zatwierdziło lokalizację szczegółową w Swierżach. Wybrany teren lokalizacji elektrowni potwierdził swoje zalety w trakcie budowy: łatwo poszło z odwodnieniem terenu, piasek z wykopów posłużył do produkcji betonu; powódź w lipcu 1970 r. nie wyrządziła żadnych szkód na budowie, pływał nam tylko jeden kiosk spożywczy, ale manka i tak nie było. No i, co jest godne uwagi, to fakt, że wybrana lokalizacja obniżyła koszty budowy o prawie ćwierć miliarda złotych...

— Każdy wielki obiekt przemysłowy to również problem ochrony naturalnego środowiska.

— O tym, proszę pana, też myślałem, decydując się na tę lokalizację. Wysoki brzeg Wisły i suche tereny piaszczyste lub leśne, to dobra przewiewność lokalna i korzystne warunki dla rozpraszania zanieczyszczeń; okoliczne tereny są słabo zaludnione, typowo rolnicze, ale pozbawione wartościowych upraw; budylnic i sadownic z rejonu Warki, Grójca i Białołęki mogą spokojnie rozkrecać interes, bo tam zanieczyszczenia nie dotrą; tak samo nie ucierpią tereny szczególnie chronione — Zalesie i Otwock, które leżą w odległości 50 km od elektrowni. Kiedyśmy czyścili teren i robili przecinki pod linie wysokiego napięcia, podniósł się wrzask, że niszczyliśmy środowisko i że ginie Puszcza Kozienicka, ale co to za

miesiące wcześniej, blok II również o 4 miesiące wcześniej, blok III o 5 miesięcy, blok IV już o 7 miesięcy, a blok V o 10 miesięcy wcześniej. W czerwcu (byłem w Kozienicach w ostatnich dniach maja br. — przyp. R. B.) zamiast w grudniu ruszy blok VI. Oddać 4 bloki w ciągu jednego roku i doprowadzić je do pełnej zdolności produkcyjnej już w drugim miesiącu, tj. w okresie o 4 miesiące krótszym od okresu normatywnego, to jest naprawdę niespotykany rekord! Nasze doświadczenia zostały wykorzystane przez inne kraje, obok doświadczeń przodującej inwestycji w ZSRR — Elektrowni Ładyżińska. Warto podkreślić, że w Elektrowni Rybnik, która należy również do produkujących w kraju, w okresie 12,5 miesiąca przekazano do eksploatacji trzy bloki i zsynchronizowano czwarty; obie elektrownie, tak krytykowane, dają dziś w okresie szczytu zimowego 1800 MW mocy, zabezpieczając potrzeby dynamicznie rozwijającej się gospodarki narodowej.

Wiem, pan teraz zapyta, jak do tego doszło, więc odpowiadam: Daj mi pan spokój, bo mi już leć pęka od tych najazdów dziennikarskich, dzisiaj męczył mnie trzej filmowcy, więc mam dość. Myśli pan, że to się robi w blasku? Elektrownia produkuje wcześniej, niż zaplanowano, może spłacać długi, ale bank trzyma się przepisowego terminu i ściga odsetki, bo nie nie chce tracić; zatrudnienie idzie według megawatów, np. 0,7 osoby na megawat, my te megawaty puszczamy wcześniej, zatrudniamy więc więcej ludzi i przekraczamy planowany fundusz płacowy.

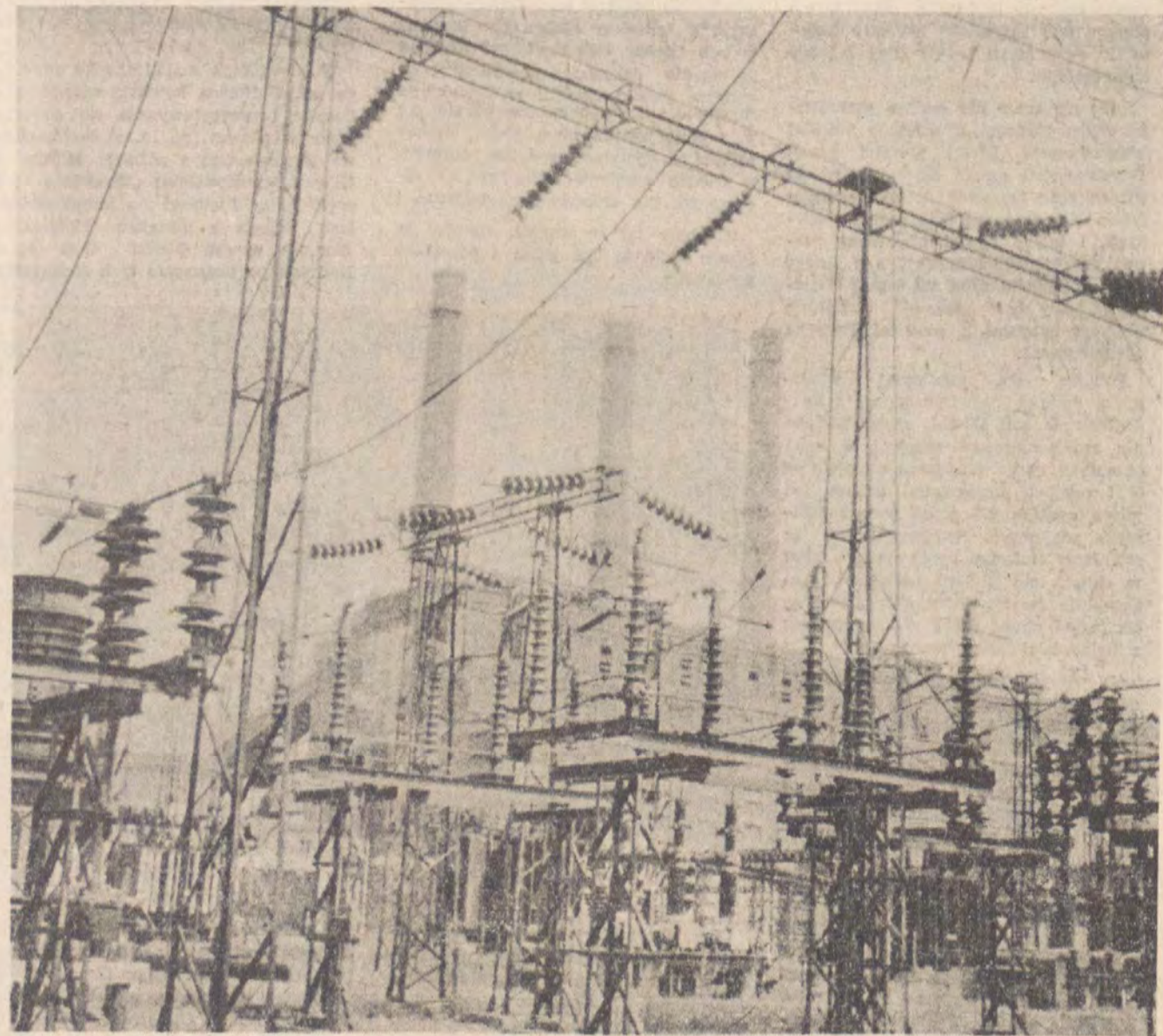
W prasie ukazują się krótkie, suche notatki o sukcesie, podczas rozruchu kręca się redaktorzy i przeszkadzają, potem piszą o radości na twarzach robotników, a oni, jak u Hłaski, mogliby powiedzieć, że to głównie prawda. Wie pan co? Ja pana przekażę w ręce sekretarza POP, Ludwika Szczepkowskiego. To jest stary „turysta” energetyczny, u nas był dyżurnym ruchu, zna wszystkie sprawy na wylot, niech on się z panem męczy przez następne dni...

W drodze przez dziedziniec umawiałem się z sekretarzem na jutro. Zauważyłem, ale słowo daję, że nie chcę tu nikomu specjalnie kadzić, iż teren wciąż przecież rozbudowującej się Elektrowni może zadziwić każdego czystością i idealnym porządkiem. Takiej budowy jeszcze nie widziałem: wymiecione chodniki i szerokie asfaltowe drogi, świeżutkie zieleńce, kłomby, cementowe misy pełne bratków, w miejscu wyciętego lasu zieniące się rzędy młodych drzewek liściastych.

— To zasługa Zborowskiego — powiedział Szczepkowski — z tą czystością i porządkiem goni jak cholera! A jeśli idzie o sukcesy, to on ma rację. Przyszli tutaj inżynierowie i technicy po rocznym stażu, których ambicją było uruchomienie tej elektrowni. To wcale niełatwe. Stanęli przy prototypach, bo jak inaczej nazwać po trzykroć modernizowane turbiny? „Wykrywacz” metalu w węglu rozpałał się i przepuszczał ziom, trzeba było ten ziom wylapywać na specjalnych siatkach, zawieszonych pod paleniskiem, albo był tak czuły, że zatrzymywał taśmociąg, przy głupiej blaszce z puszką od konserw; pan wie, co znaczy ponowne uruchomienie obciążonego dziesiątkami ton węgla taśmociągu? Ja też bym się wściekał, gdybym był w takiej brygadzie, którą po dwunastu godzinach roboty odwożą do domu i jeszcze nikt nie zdążył się umyć ani zjeść, a tu samochód trąbi i trzeba wracać do Elektrowni, bo jest napięta, awaryjna sytuacja. Ludzie kłękli, ale nikt się jakoś nie polamał...

III.

Portier wprowadził mnie do obszernej sypialni. Pięć tapczanów, we wnęce osłoniętej kolorowym lnem stolik, kuchnia gazowa, szafka na produkty żywnościowe; w łazience głęboka wanna, ale tylko metr długo, zapaskudzona, deska klozetowa zachłapaną na trwałe przez malarzy. — Jak rodziną mieszkają — powie-



Fot. Archiwum

asfaltowa droga, coraz szersza; równe ściany lasu sosnowego i szpaler świeżo zasadzonych kłombów, nad drogą ślepa lamp rzeźbiarska; zamiast grzybów wyrosły ponad lasem dwa dwustumetrowe kominy, czasem zaplącze

było zbudować, i to po raz pierwszy, dużą elektrownię położoną w rejonie spożycia energii, a nie w rejonie produkcji paliwa, jak dotychczas, mam tu na myśli Śląsk, Turoszów, czy też Konin-Patnow. Wybrano rejon nad

puszcza? To ledwie rachityczne, skarlale przedpole tej puszczy. Dzisiaj leśnicy sami tną drzewa i jest dobrze...

Elektrofiltry mamy znakomite, jeśli istnieje opad pyłów, nawet w najbliższym otoczeniu, to jest on mini-

w latach 1969—78 idzie na ten cel 1 300 mln zł! Z tego 900 mln daje Elektrownia...

— To znaczy, że buduje się nowe miasto. Elektrownia tworzy nowe Kozienice, i to nie tylko urbanistycznie, ale i pod względem demograficznym.

Przeczaili się, aby złapać złodzieja, dwa dni czatowali, a na trzeci, kiedy strażnik oddalił się za swoją potrzebą, szklifierka zniknęła i została tylko kartka z napisem: „Dziękuję za przypilnowanie...” To jest świństwo, proszę pana, ale kradzieży nie uda się uniknąć na wielkiej budowie, różne elementy się trafiają wśród ludzi. Mówi się o zabezpieczeniu, a więc stawianie ogrodzenia, zatrudnienie dziesiątek strażników; olbrzymie koszty, wstrzymywanie ruchu setek samochodów, a złodziej i tak wywiezie na wywrotce pod piaskiem tonę konstrukcji stalowych...

IV.

Pokój wypełnił się słonecznym blaskiem, blok hotelowy ożył, znów trzaskały drzwi i dudniły schody; „Hippies” ściągnął z tapczanu tego młodszego, sam umył się i wyszedł; do pokoju wtargnął rozwierzony blondyn o czerwonych oczkach, oparł się o ścianę i jęknął boleśnie:

— Formalnie mam kaca...
— Mnie tam łeb nie boli — powiedział ten od „Hippiesa”.

— Ale może boli cię co innego? Ta panna jeszcze jest pod czternastką, przyjechała wczoraj traktorem i całą noc wyrabiała normę na popych...

— W Lublinie to są dziewczyny, tutaj samo barachlo. A w ogóle to się nie wyrażaj, bo ten pan to jest gość na pozłomie...

Udałem się do Elektrowni. W drodze minęła mnie grupka chłopaków rozprawiająca na tematy muzyczne; nigdy nie mogą się zebrać w kupę, co rusz ktoś odjeżdża i zespołu nie można utrzymać. To oni tak wczoraj trenowali na organach.

Zjadłem śniadanie w obszernej, pięknie urządzonej i dobrze zaopatrzonej stołówce zakładowej i poszedłem „męczyć” sekretarza Szczepkowskiego; ktoś mu dzisiaj składał życzenia z okazji 25-lecia pracy w energetyce, ale on ma już 27 lat za sobą, z dwoma latami przerwy, kiedy przechodził z Olsztyna na Żerań; później był Sierkiel, Włocławek i Kozienice.

Idziemy przez Elektrownię. Ukryte w kacie wraki pierwszych parowozów, dzisiaj jeżdżą już lokomotywy spalnowe: pompownia i ogrzewnia mazutu, setki metrów rur, wielka jak góra halda węgla, nad taśmociągami ramie ładowarko-zwalowarki o wydajności 110 ton na godzinę i wyciągu zwałowania 31 m; szyny kolejowe, po raz pierwszy w energetyce krajowej zastosowano tu zamkniętą pętlę torów kolejowych, dzięki czemu skrócono czas operacji wagonami; leje odprowadzające popiół, czyli obiekt tzw. odpowielania hydraulicznego, który pracuje w obiegu zamkniętym, popiół lotny odprowadzany jest spod elektrofiltrów pneumatycznie, odzulfanie zaś — hydraulicznie.

— Podejrzaliśmy do komory paleniska — mówi Szczepkowski i otwiera drzwiczki, za którymi buzuje jaskrawy płomień, i błyskawicznie odsuwa mnie na bok. — Czasem ogień strzeła pięciometrową strugą — śmieje się.

Wyjaśnia potem, że podgrzewane kotły dają 650 ton pary na godzinę, pokazując kule do mielenia węgla w młynach, jedna kula waży 600 kg; nie sposób, mówi, wymienić wszystkich rozwiązań technicznych, bo i po co, na ludzi warto popatrzeć tych w „punktach dowodzenia”, ukrytych za trzydrzwiowymi, dźwiękochłonnymi wejściami, gdzie wszystkie urządzenia są automatyzowane; nie widać obsługujących w tym ogromnym gmachu, na dwóch blokach podczas zmiany pracuje tylko 15 ludzi...

— Krąży o budowach zła opinia — zauważa sekretarz — że trafiają

się kradzieże, a ja panu powiem, że w porównaniu z Żeraniem, tutaj zlikwidowano marnotrawstwo o 90%. W Kozienicach pracowało chyba 20 podwykonawców, m. in. „Energomontaż-Północ”, „Elektrobudowa” z Katowic, „Izokor” Płock, „Hydrocentrum” Warszawa, Przedsiębiorstwo Inwestycji Przemysłowych z Lublina; na budowie pracuje średnio 3 tysiące ludzi, 2 tys. w eksploatacji, dotychczas przewinęło się przez Elektrownię 10 tys. ludzi. Czego tutaj nie było...

A co jeszcze jest, co pozostało? Na przecince leśnej, pod linią wysokiego napięcia stoi drewniana chałupa z białym krzyżem na drzwiach, wieczorem gospodyni zapala w tej chacie „naftówkę”, w betoniarńi pracuje rolnik, zarabia nieźle, gospodarz na 20 morgach, a zbite z desek wyraża zaścielone słomą, okno bez szyb, zaklejone gazetami, kielbasę w kawałkach sypie się tam z ręki na stół, musztardówki dzwonią, krzakówka się leje; w tej wsi do sekretarza POP przychodzili członkowie, kładli legitymacje na stół i mówili, że oni mogą nawet zapłacić składki, ale bez legitymacji, bo we wsi się z nich śmieją; tak, stare wciąż walczą z nowym, i odwrotnie, o tym jeszcze będzie...

Były prokurator, mgr Ryszard Skok, mieszkaniec Kozienic, dziś radca prawny w Elektrowni:

— Ładnie tutaj było, „Radokór” miał nad Wisłą ośrodek wczasowy, przyjeżdżałem nieraz do topielców, ale bieda jak cholera, Chynów, Ryczywół, Nowa Wieś, Michałówka — same plachy, dróg żadnych, w czasie okupacji Niemcom z przyczółka działała tonęły po osie, no i elektryczności nie było; ludzie z małych piaszczystych zagonów jeździli za pracą do Warszawy, o 3 rano wstawali, wracali, o 8 wieczorem, do powiatu w Kozienicach wyprawiali się raz w życiu; wyjeżdżałem na akcję propagandową gdzieś za Magnuszew, to ludzie na kolorowe broszury patrzyli jak na książeczkę do nabożeństwa, spało się wtedy na słomie przy żelaznej „suce”...

Tutaj zaczęliśmy od cięcia lasu, aby doprowadzić linię kolejową z Kozienic do Swierży; urzędowaliśmy w kozienickim POM-ie, 15 ludzi w jednym pokoju, bez telefonu, do kolegi bębniło się pięścią w ścianę; w stosunku do innych zawodów zarobki były wysokie, więc dla miejscowych dobrodziejstwo, a jeszcze posypały się grube tysiączki za wynajęcie kwatery, więc nikt się nie sprzeciwiał w Swierży, wywłaszczanie szły gładko...

— Ale jak maszyny zaczęły walić w tumanach kurzu ten wyłisył las — przerywa Henryk Woźniak, „socjalnik” — to jak zresztą wszędzie, baba z dziećmi rzuciła się pod spychacz!

— Te sprawy ciągną się do dziś — uzupełnia Szczepkowski — bo w Kozienicach pod blokami stoją stare chałupy, które trzeba siłą usuwać; stwarza się dobre warunki, ale ludzie chcą wille za chałupy. Jest utonna kobieta z ośmiorgiem dzieci, sparaliżowana, jeździ na wózku, gospodarstwo 3 ha; dajemy jej dwa mieszkania w bloku (po M-4 każde), które można połączyć, ze specjalnym podjazdem dla wózka, podejmujemy się kształcić dzieci na nasz koszt, ale kobieta nie, bo córki muszą być gospodyniami; Elektrownia buduje jej zagrodę, ale pozostaje problem studni: nie może to być „abisynka”, tylko taka z kolowrotem...

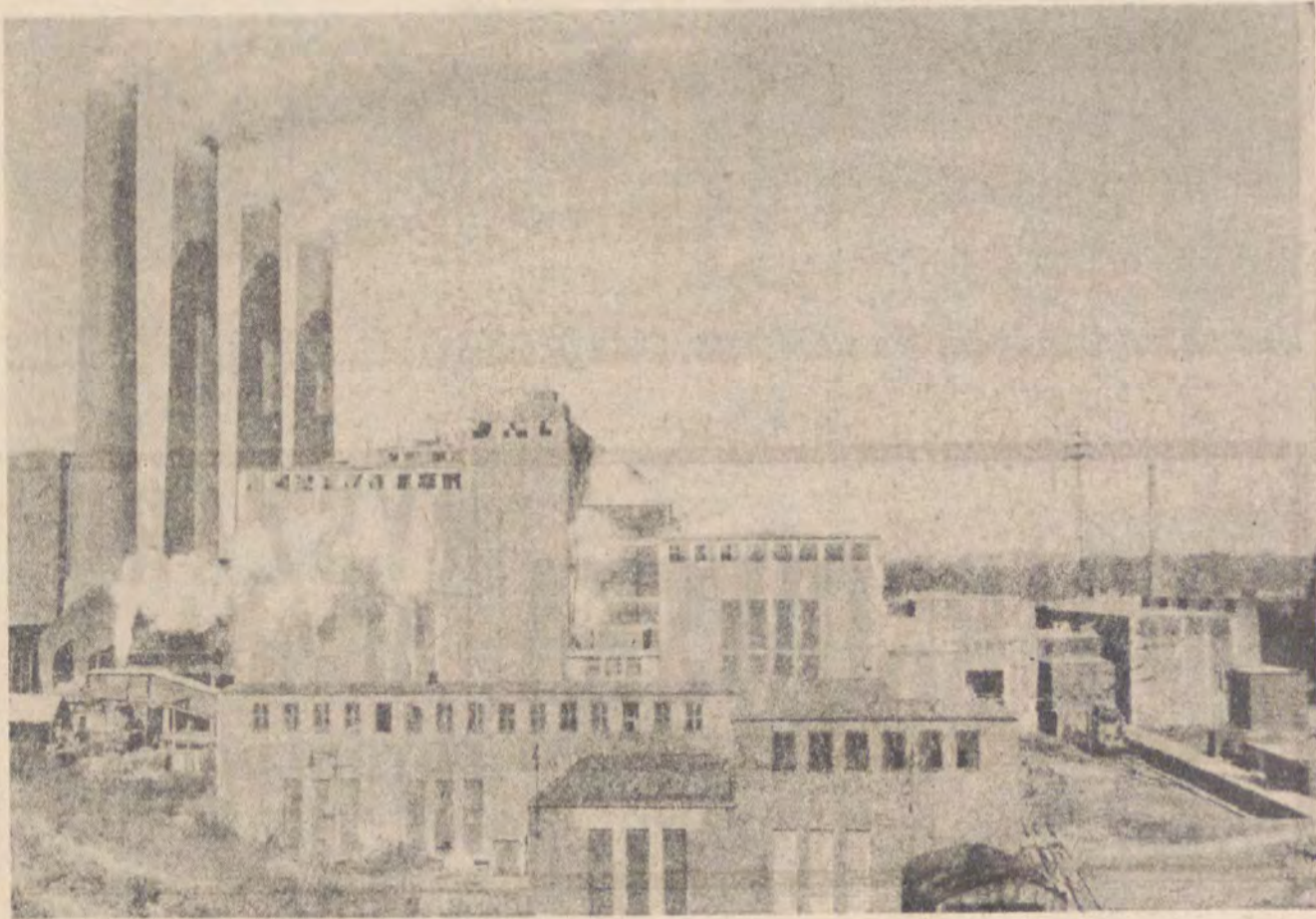
— A przecież ludzie wiele zyskują — włącza się „socjalnik”. — Oddaliśmy dotychczas 600 mieszkań dla pracowników, mamy stołówkę wydającą 600, a jak trzeba, to 1000 obiadów, po 11 zł, korzystają z nich również miejscowi, bo z wyżywieniem

krucho, chociaż są knajpy w Kozienicach: „Giewont”, „Zajazd”, „Bar Ludowy”, „Pod trumienką” i „Pod okiem”, ten ostatni blisko siedziby władz, stąd i nazwa. Mamy na osiedlu doskonale wyposażony klub, zapewniamy 100 proc. korzystania z wczasów, dzięki Elektrowni mieszkańcy mogą oglądać występy dobrych zespołów. Istnieje problem zatrudnienia kobiet, zwłaszcza żon inżynierów i techników, bo mężczyźni-fachowców, takich jak monterzy turbin, spawaczy (zarabiają po 10 — 12 tysięcy miesięcznie) musimy poszukiwać. W Elektrowni ci niżej zawodówki trudno znajdują miejsce, ale widać już olbrzymi awans młodzieży chłopskiej

niach, robiono społeczne składki, aby zaktywizować miasteczko, i nie, niech pan popatrzy, jak tam teraz świat wywraca się do góry nogami...

V.

Wokół zalewającej całą płaszczystą uliczkę kałuży dzieciaki bawią się w Szurkowskię, oddziały ludzi w zielonych kaskach dążą do „Baru nad Wisłą” w Swierży, ponurej meliny, gdzie ściany w liszajach brudu, poogiecie, z rozprutymi siedzeniami krzesła i odór lejącego się piwa, dobrze, że wiatr od Wisły wszystko przewiewa, bo inaczej można wyjść stamtąd z kacem, ale bez picia. Wrednie



Fot. Archiwum

z powiatu, uczące się w naszej szkole przyzakładowej; ci chłopcy są naprawdę talentowani i doskonale sobie radzą w automacie. Niebawem możemy nawet cierpieć na brak miejscowych rąk do pracy, bo obok Elektrowni ruszy Zakład Betonów Komórkowych, w Płonkach rozbudowuje się zakład sztucznej skóry, będzie też zakład ceramiki radiowej.

— Kozienice, proszę pana, to miasteczko drobnomieszczańskie; więcej urzędników niż robotników — kontynuuje mgr Skok. — Wielu chciałoby żyć po staremu, spokojnie, ci właśnie krzyżeli: „Po cholere żęście tu przyszli!”, kiedy powstały trudności z zaopatrzeniem. A jak już jest Elektrownia, to trzeba z niej jak najlepiej wyciągnąć: za chałupę o wartości 100 tys. dają 700 tys., ale ty poczekaj, to może wyciągniesz milion. Stąd też bywa i tak, że pracują w Elektrowni, zarabiają po 20 tysięcy w 4-osobowej rodzinie, ale ze starej chałupy nie chcą się wynieść. Oczywiście wyjątki, bo taki np. były soltys bardzo sobie chwalił to nowe, gdyż jako portier zarabiał ponad 2.000, a to już jest coś dla wsparcia kilkuhektarowej gospodarki. Ja, proszę pana, dopiero w Elektrowni stałem się pracownikiem całą gębą, a moje dziecko również w zupełnie odmiennych warunkach niż ja. W Kozienicach do dziś szpital mieścił się w carskich staj-

uprzejma kelnerka i bufetowa w jednej osobie zaproponowała mi świeży „sztukamię”; świeży był, aż różowy, obcęgami rwać, a bufetowa pyta jeszcze, czy smakowało. Śniadania nie można jutro zjeść, ponieważ bar czynny dopiero od 15.00, w soboty i niedziele dłużej. Bufetowa nie mówi, że skrócono działalność baru i wycofano sprzedaż alkoholu, bo codziennie działa się tu cyrki. Teraz milicja ściga z ciężarówką wziętą do Swierży skrzynki z wódką dla zaopatrzenia pokątnych knajp...

Ulica Warszawska w Kozienicach rozkopana, pośród świeżo wznoszonych murów sterczą dwie kapliczki, a w sąsiedztwie stodoły europejskie skrzyżowanie z sygnalizacją świetlną; na „ulicznym” dworcu kierowcy wykonują cudaczne manewry, mylą i gubią pasażerów, mnie też zmylili i potem konduktorka chciała mnie wysadzić, bo miałem bilet na autobus przelotowy, a nie na radomski. Kiedy podzieliłem się swoimi spostrzeżeniami z szefem inwestycji towarzyszącym, mgr Julianem Orlińskim, ten powiedział:

— Panie, tu nie ma się czemu dziwić. Ja pana wprowadzę w te sprawy czymś mocnym: kiedy w 1968 r. przysłała Elektrownia, Kozienice liczyły 6 tysięcy mieszkańców, a dziś 12 tysięcy; w ciągu 25 lat na inwestycje komunalne wydano 48 mln, natomiast

— Niech pan posłucha. Łącznie z nowo powstałymi zakładami, do 1975 roku zatrudnienie osiągnie około 4 tys pracowników, jeśli więc rodzina składa się z 4 osób, to jasne, że Kozienice będą liczyć ok. 16.000 mieszkańców. Aktualnie buduje się wodociąg, kolektory kanalizacyjne, jest oczyszczalnia i przepompownia ścieków, rozbudowuje się kotłownię, sieci — ciepłowniczą i gazową, szkoda, że nawała „Hydrocentrum”, rozjechała się po innych budowach i stoi w najważniejszym odcinku.

Przybędą miastu nowe obiekty sportowe, jak hala widowiskowo-sportowa z krytą pływalnią; dyr. Zieliński już zostawił jedną pamiętkę — piękny stadion, takiego nie ma w całym województwie; uzgodniono lokalizację Klubu Technika, w bólach, ale rodzi się tak potrzebny miastu Powiatowy Dom Kultury, oddano do użytku nowy hotel Elektrowni na 150 miejsc, na ukończeniu znajduje się budowa Osiedla „Skarpa”, na razie jako zaplecze hotelowe, później przeznaczone dla stałych mieszkańców.

— Mnie interesuje handel i ten dworzec autobusowy.

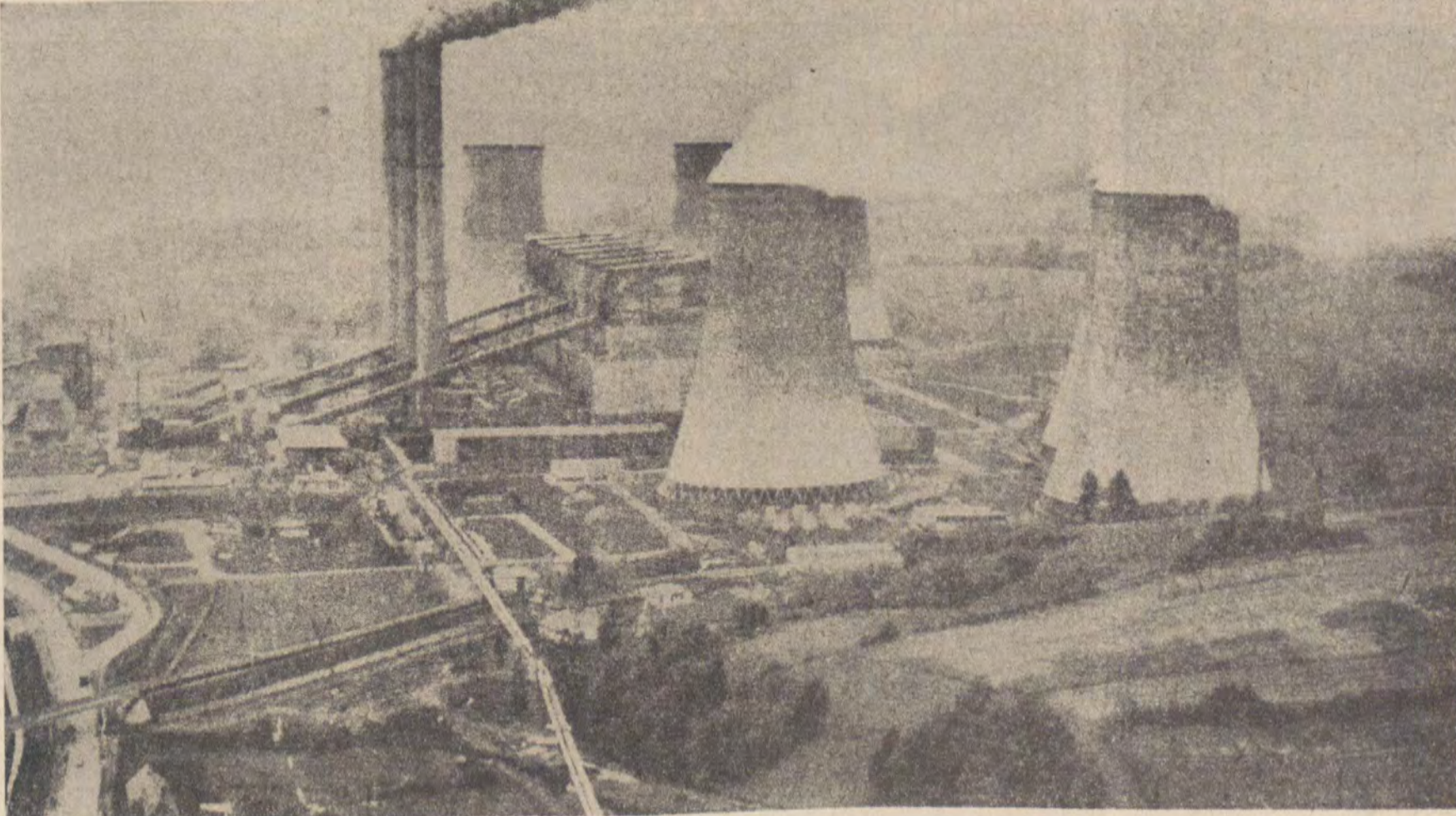
— Właśnie przystępujemy do budowy dworca, a handel? „Strefa zielona”, wszystko w reku GS, bo niższe podatki; co przybędzie do Kozienic, to wywoza zatrudnieni z innych miast, tak w kółko. My ze swej strony wydzieliliśmy na osiedlu część lokali mieszkalnych na przychodnię lekarską, aptekę i sklepy spożywcze; rosna mury zespołu szkół zawodowych dla 240 uczniów (szkołę podstawową też postawiła Elektrownia), zbudujemy szpital z prawdziwego zdarzenia i nowe pawilony handlowe; na ukończeniu jest budowa domu wypoczynkowego w Kołobrzegu i Nałęczowie oraz ośrodka wypoczynkowego sobotnio-niedzielnego w odległym o 25 km Trzebieńcu. Ale ja chyba nie będę wymieniał wszystkich inwestycji, bo wiadomo — buduje się nowe miasto, a więc to wszystko, czego w Kozienicach nie było...

— Może jeszcze coś na temat budownictwa mieszkaniowego?

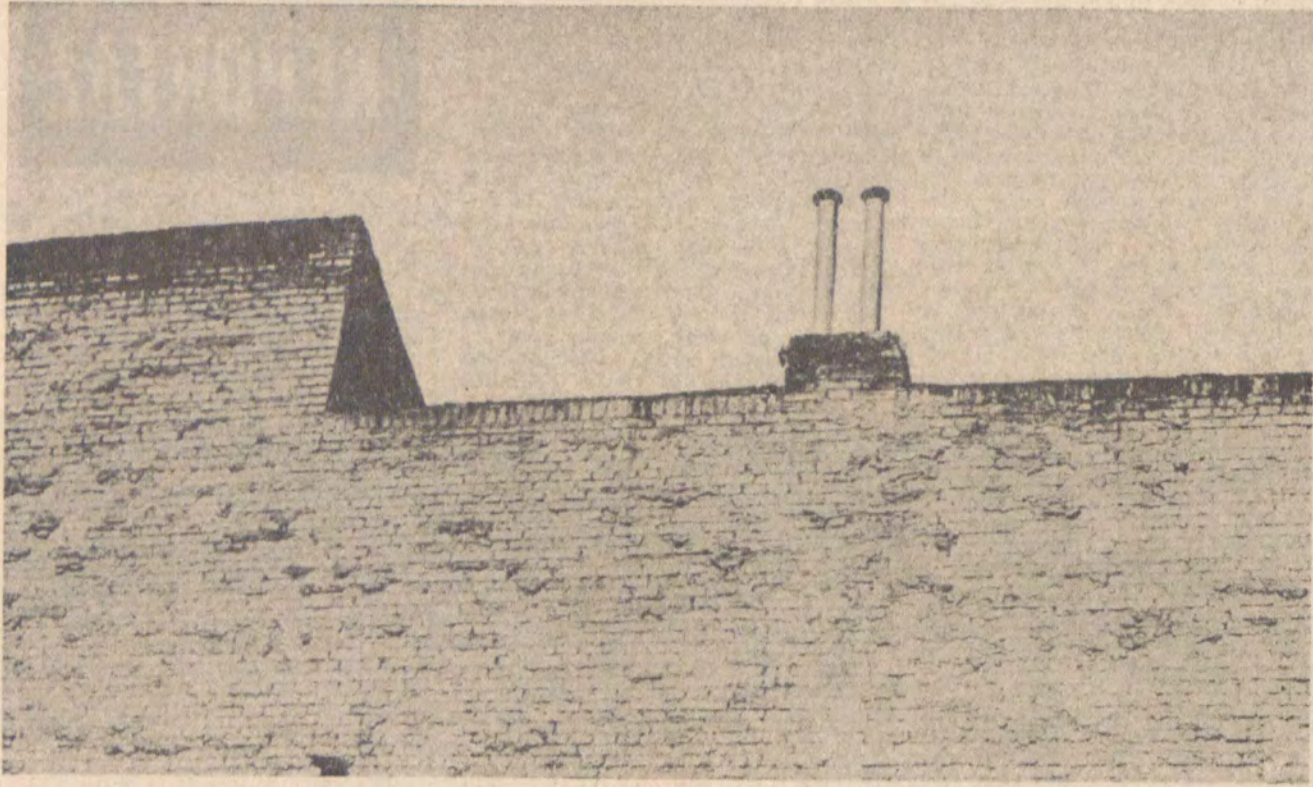
— Na Osiedlu Energetyki przekazaliśmy do użytku ponad 800 mieszkań, do końca roku przybędzie ich 535, ale na tym sprawa się nie kończy, gdyż rozpoczyna się budowa nowego Osiedla „Wschód” dla ponad 6000 mieszkańców. Warto odnotować, że te wszystkie inwestycje realizowane są w przeważającej części jako inwestycje własne Elektrowni. Co tu dużo gadać — Kozienice stają się zapleczem dla energetyki...

Pod blokami stoją jeszcze stare, rozpadające się chałupy, ale i one wkrótce znikną, w myśl bowiem nowych zarządzeń inwestor będzie budować upartym gospodarzem zagrodę zastępczą. Przy narodzinach nowego miasta stare musi umrzeć. Dyrektor Generalnego Wykonawstwa, Józef Zieliński, mówi:

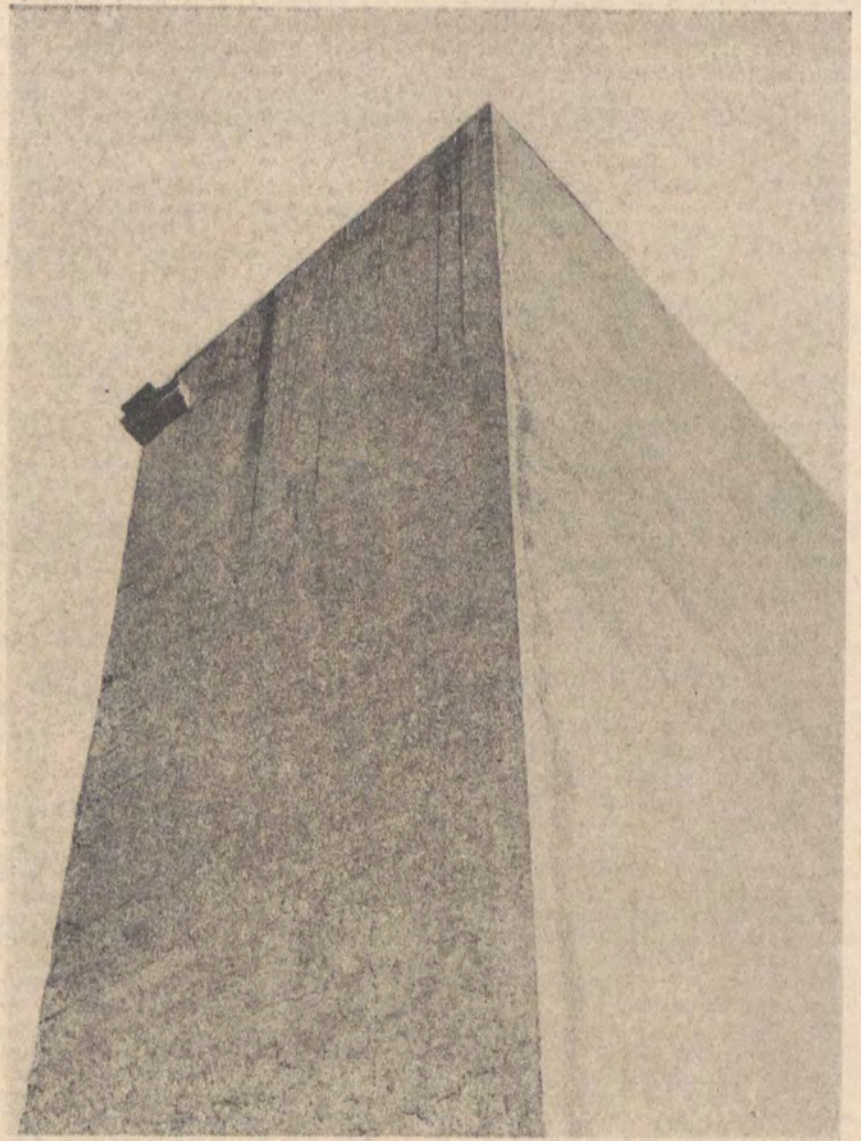
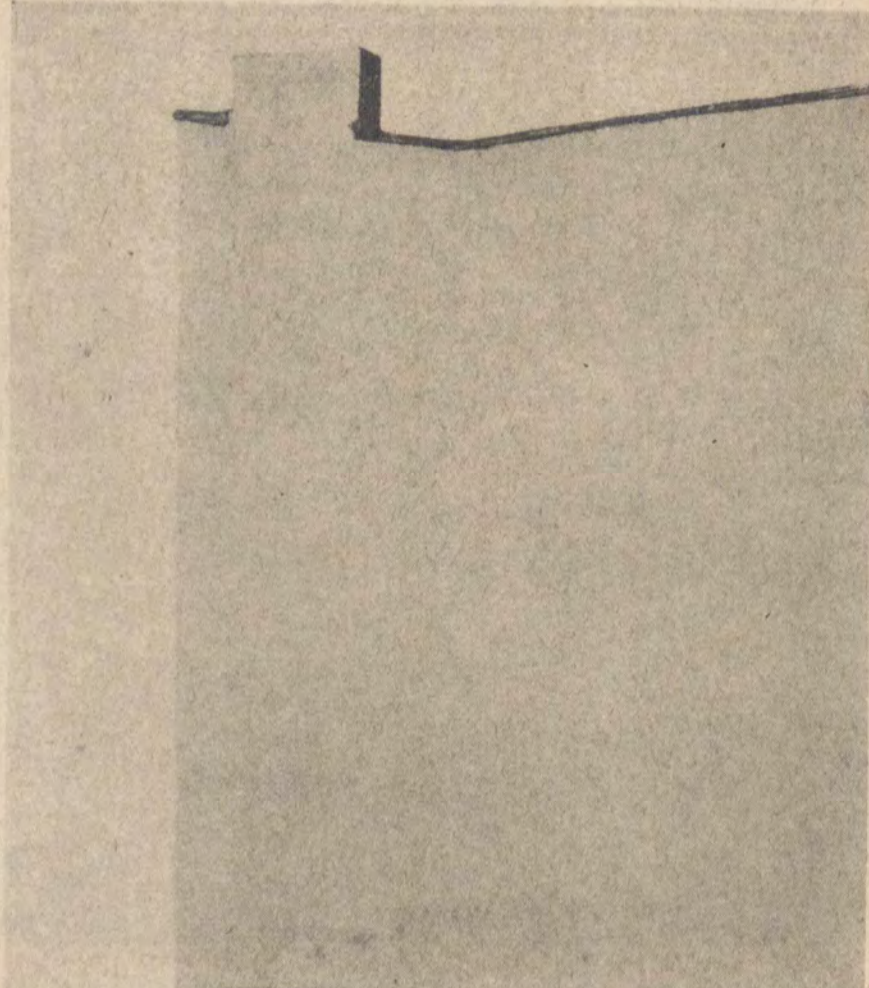
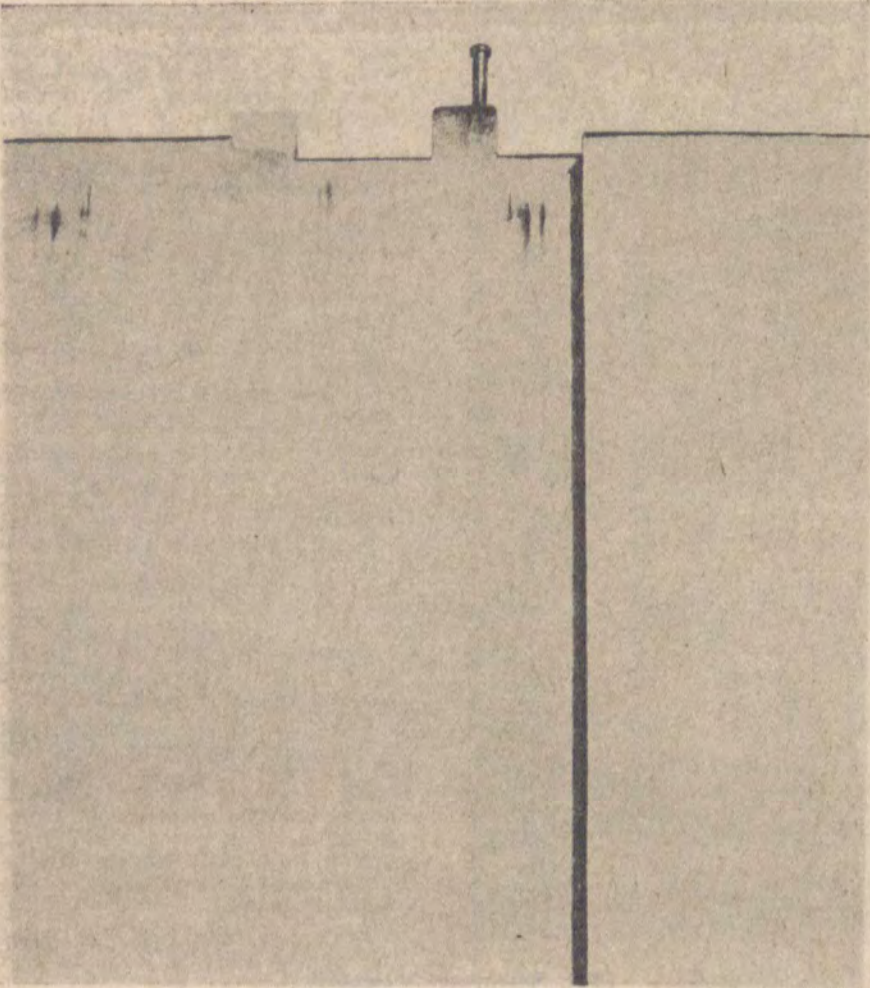
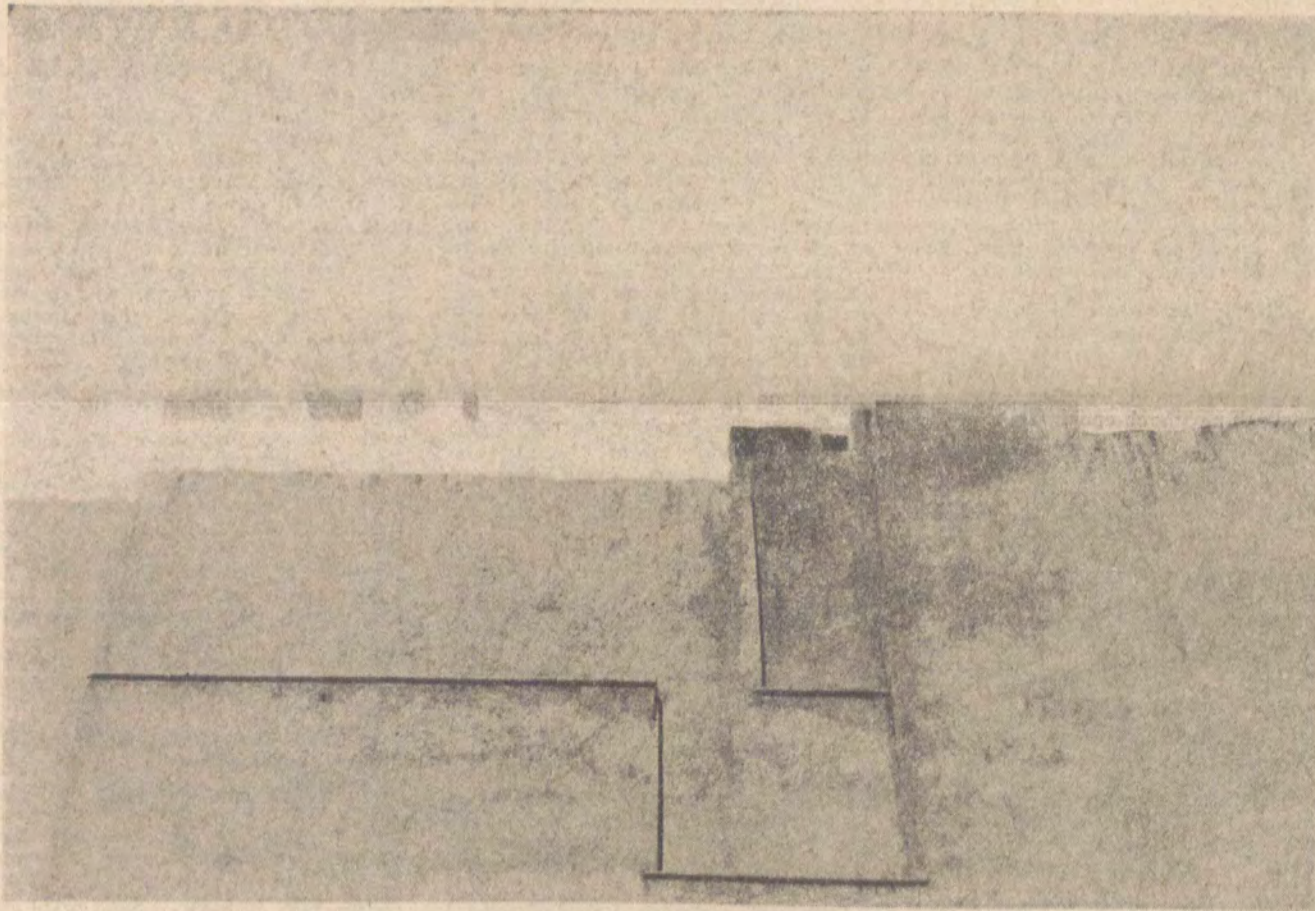
— Cholera, stajni i obór jeszcze nie budowałem, ale jakoś to chyba przeżyję...



Fot. Archiwum



PIOTRKOWSKA RYSZARD TABAKA— FOTOREPORTAŻ



PIOTRKOWSKA WIDZIANA INACZEJ...

O ulicy Piotrkowskiej napisano tomy. Opisowali ją historycy, jak np. doc. Anna Rynkowska, rysowali ją artyści, jak np. Wacław Kondak. Fotografowali ją wszyscy chyba fotograficy, jacy się przez Łódź przewinęli. Piotrkowska ze swoim szeregiem stylowych, secesyjnych domów zawsze była wdzięcznym modelem dla obiektywu i oka artysty.

O Piotrkowskiej głośną frazskę napisał Jan Sztaudynger: „To największą w Łodzi troską by Łódź całą zmieścić na Piotrkowską”

I właściwie tak się stało. Piotrkowska to „cała Łódź” — sklepy (setki!), urzędy (z Urzędem Miasta na czele), redakcje (wszystkie!), restauracje (z „Peszem”, „Słoniem” i „Śródmiejską” na czele), nawet jedyny w Łodzi cocktail-bar mieści się na Piotrkowskiej... Dalej Domy Towarowe, kluby (drukarnie, dziennikarzy, pracowników handlu zagranicznego), Muzeum Włókiennictwa i katedra, dawna fabryka geyrowska — dziś ZPB im. Dzierżyńskiego, hala targowa, urzędy pocztowe i kawiarnie... Słowem „cała Łódź” jest na Piotrkowskiej. Przy Piotrkowskiej jest nawet park z pięknym stawem.

Więc znamy tę ulicę i wydawać by się mogło, że nic już nas w niej nie zaskoczy. A jednak... Fotografik Ryszard Tabaka zobaczył Piotrkowską nie znaną.

Obok fotografowanych przez niego domów przechodzimy codziennie i nie dostrzegamy ich. Bo przecież jest dla nas wszystkich zaskoczeniem, że prezentowane obok zdjęcia to także Piotrkowska.

Ten dach z dwoma blaszanymi kominami znajduje się obok „Centralu”, te płaskie, nieco odrealnione płaszczyzny ślepych ścian — to przecież domy przed pocztą obok placu Rewonta, to róg Piotrkowskiej i Głównej, to dom obok Galerii Rzeźby w Pasażu ZMP... To — po prostu — Piotrkowska.

JERZY WILMAŃSKI

JERZY AUGUSTYNIAK

ARCHEOLOGICZNE LATO

Sezon badawczy archeologów ośrodka łódzkiego przedstawia się ciekawie. W kilkudziesięciu miejscowościach województwa łódzkiego prowadzone są prace wykopaliskowe.

Pracownicy nauki Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi będą 10 stanowisk. W Stobnie pow. Wieluń i Podzamczu pow. Wieruszów wzniesione będą prace na grodziskach kultury łużyckiej. W Podzamczu budowana niedawno droga przecięła wały obronne grodziska zwanego przez miejscową ludność „Wałami św. Rocha”. Obiekt ten o pow. 48 ha należy do największych na terenie naszego województwa.

Już piąty sezon trwają badania na niezwykle ciekawym stanowisku z okresu rzymskiego (0—400 n.e.) w Przywole pow. Wieluń. Oprócz zbadanych już dwóch kurhanów, istniała tu osada hutnicza, której relikty w postaci śladów chat i wytopu żelaza odkryte zostały w roku ubiegłym. Usytuowany tuż nad zakolem Warty, u stóp malowniczych wzgórz Przywóz jest dziś atrakcyjnym miejscem wypoczynkowym.

Jednym z ciekawszych zespołów osadniczych na terenie woj. łódzkiego są Majkowiece pow. Piotrków.

W bezpośrednim sąsiedztwie Pilicy, natrafiono na stanowiska z okresu rzymskiego i wczesnego średniowiecza. W łąkach leży dobrze zachowane grodzisko stożkowate, datowane na podstawie zeszłorocznych badań na XIII-XIV w. Z drugiej połowy XIV w. i pocz. XV w. pochodzą relikty zamku starszego, który jest właśnie badany, natomiast w pewnej odległości od rzeki, na niewielkim wzniesieniu stoją pozostałości zamku XVII-wiecznego.

Trzeci sezon trwają badania na cmentarzysku szkieletowym w Dębnie pow. Wieluń. Rozbija tu swe namioty Młodzieżowy Obóz Archeologiczny.

Wojewódzki Ośrodek Krajoznawczo-Turystyczny. Młodzież szkół łódzkich pracując na wykopie, śledzi tok pracy archeologa, zapoznaje się z najdawniejszymi dziejami regionu.



Fot. Augustyniak

giczny. Od 1962 r. datuje się tradycja obozów archeologicznych organizowanych przez Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi i Szkolny

Poważny udział w poznaniu pradziejów naszego województwa mają muzea regionalne. Muzea w Brzezinach, Pabianicach, Piotrkowie, Radomsku, Sieradzu, Tomaszowie, Wieluniu prowadzić będą badania na 9 stanowiskach z różnych epok.

Obiektami, które zawsze wywołują wielkie zainteresowanie turystów są zamki obronne. Na terenie województwa łódzkiego mamy ich kilkanaście, cztery badane są aktualnie przez archeologów.

Zamek w Bolesławcu pow. Wieruszów należy do najciekawszych obiektów architektury militarnej w Polsce z XIII-XIV wieku.

Już trzeci sezon trwają tu prace badawcze Zakładu Archeologii Polskiej Środkowej Instytutu Historii Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk w Łodzi. Odsonięto relikty bramy wjazdowej, zabudowy wewnętrznej zamku. Analiza cegły w zachowanych partiach murów obronnych przyniosła w efekcie odkrycie pierwotnego zwieńczenia tych murów z blankowanym krenelażem. Wśród licznych zabytków ruchomych takich jak ostrogi z XV i XVI w., groty bełtów do kusz, monety Jana Kazimierza, Albrechta Brandenburskiego, Krystyny Szwedzkiej, na szczególną uwagę zasługują kafle piecowe ornamentowane, o tematyce roślinnej, figuralnej i architektonicznej.

Fot. Augustyniak

Prace badawcze na zamku w Bolesławcu trwają. Jednocześnie, odsłaniane mury są zabezpieczane i przygotowywane do ekspozycji. Po zbadaniu zamku i przeprowadzeniu prac remontowo-konserwatorskich w XVII-wiecznym młynie, który kiedyś do zamku należał, Bolesławiec stanie się jedną z najbardziej atrakcyjnych miejscowości turystycznych województwa łódzkiego.

Siedem lat trwają już systematyczne badania wykopaliskowe na XIV-wiecznym zamku w Rawie Mazowieckiej. Po wyjaśnieniu wielu problemów dotyczących m. in. rozplanowania zabudowy dziedzińca, prace koncentrują się na terenie tzw. „Domu Dużego”. Odsłania się podziemia wew-

nętrne, bada konstrukcje ścian i fundamentów. W jednej z piwnic natrafiono na stopę fundamentową filara, który dźwigał sklepienie. W odsłoniętych i zaadaptowanych piwnicach zamku rawskiego znajduje się wystawa zabytków ruchomych, których znaleziono tu bardzo dużo.

Rawa Mazowiecka zyska niezwykle wartościowy i atrakcyjny obiekt dla tysięcy turystów, którzy odwiedzają to miasto.

Niedaleko Rawy, nad Pilicą, w znanej dziś miejscowości letniskowej o starej metryce historycznej — Inowłodzu — łopata archeologa odsłania tajemnice zamku zbudowanego przez Kazimierza Wielkiego. Podobnie jak w Rawie, odsłonięte i zabezpieczone relikty tej budowli udostępnione będą zwiedzającym.

Leżące na terenach przyszłego Sieradzkiego Parku Etnograficznego, grodzisko w Sieradzu jest od 1968 r. miejscem intensywnych badań. Pracownia Archeologiczno-Konserwatorska P. P. Pracowni Konserwacji Zabytków Oddział w Warszawie bada relikty XI-wiecznego grodu o umocnieniach drewniano-ziemnych oraz XIV-wiecznego zamku. W 1969 r. odkryto tu pozostałości XIII-wiecznej budowli ceglanej, a więc jednej z najwcześniejszych w Polsce.

Na terenie grodziska w Sieradzu, po jego zbadaniu powstanie rezerwat archeologiczny. Będzie to pierwszy tego typu obiekt w naszym województwie.

Naukowcy wyruszyli w teren, na pasjonujące spotkanie z przeszłością.

ADAM i EWA



— Wyciągnęłaś wielki los: to najlepszy mężczyzna na świecie.



...i nie będziesz miała teściowej.



— Popatrz, Ewuniu, one również poznały już smak życia...



— Trzeba się odpowiednio przygotować.



— Najchętniej wzięłabym ślub na wsi, żeby było prząsno-intymnie...



— A oto plan waszego mieszkania.



— Nazwisko ojca?
— Bóg.
— ...a imię?
— Dobry.



— Moje zameldowanie...
— Moje świadectwo urodzenia.



— Byłem kiedyś operowany.
— Wiem.

Który to już wrzesień, z rządu? Trzydziesty piąty. I byłem znowu w tej wsi pod Kutnem. Nie wiem, po co tam jeżdżę. Ale jeżdżę. Sama. „Oni” o tym nie wiedzą. A na myśl im nawet nie przyjdzie, żeby odwiedzić grób ojca. Dzisiejsze tempo życia na to nie pozwala. A pogarda dla sentymentalizmu, którym zwą zwykły przejaw uczucia — usprawiedliwia.

Ładnie tam sobie leży. Nie robiłam ekshumacji. Po co? Żeby oddzielić jego oficerskie kości od żołnierskich? Bo leży we wspólnym grobie z tymi, którzy jak on wzgardzili niewolą. Długie lata musiałam sama grób zabezpieczać. Ale od pewnego czasu nastąpiła zmiana. Już się nie wstydzimy bohaterstwa. Teraz same wsie pielęgnują wojskowe groby. A te, które ich nie mają, czują się pokrzywdzone.

Więc byłem tam znowu. Lubię, gdy jest wtedy pogoda. A właśnie — była. Nie tylko pogoda, ale wręcz upał. Tak jak wtedy, trzydzieści pięć lat temu.

Dobrze się stało, że nie został ranny: mężczyźni się umierają powoli na takim skwarze. Jarzębiny, jakie zasadziłam dwadzieścia lat temu, pięknie wyrosły. Ich czerwone jagody nad brzoźowym krzyżem są jakby symbolem... Symbolem czego? Ech, dajmy spokój temu. Kiedyś się rozstawali, powiedział: „wychowaj ich na dobrych

regiment bronii się do wygubienia i że jabłka przy trupach należą.

Nie powiem nikomu o tej rozmowie. Co komu do wiadomości, że Henryk przed śmiercią jadł jabłka. A w pół godziny potem bił się do ostatniego naboju i zginął. A swoją drogą, może gdybym to wcześniej wiedziała, zasadziłabym tu jabłoni nad grobem zamiast jarzębiny.

Kiedy on tam, pod Kutnem, bronił honoru Polski, ja w Warszawie, w polowym szpitalu zlepiłam szczałki ludzkie cywilne i żołnierskie. W trzeciej kabinie leżał kapitan artylerii. Nie pamiętam, skąd go przywieziono. Nawet nie był tak ciężko ranny, ale właśnie dlatego nie zszedł ze stanowiska ogniowego. Zle go opatrzyli, którzy tam niewykwalifikowany sanitariusz i wdała się gangrena. Amputację wytrzymał dobrze i byłby żył, ale sam odebrał sobie życie na wiadomość, że ci pod Kutnem już nie walczy. Od kogo wycygnął rewolwer, Bóg raczy wiedzieć. Komendant skłócił nas, siostry, od ostatnich — żeśmy nie dopilnowały. Kto mógł wiedzieć, że on wciął o tym myśli. O czym? Ech, za dużo by mówić. Takie wspominki, to nic dobrego. Cóż, kiedy nie można zapomnieć.

Dziwiał się nam młodzi, że niby po co ciągle... Nie rozumieją, że tamte przeżycia nie dają się porównać z niczym, co było przedtem i co jest po-

Zawsze kiedy tam jestem, myślę jak by mi się też życie potoczyło, gdyby Henryk żył. Dobrze było chłopsko, tylko trochę narwane. Witek, to jego drugie wydanie. Michał jest dużo spokojniejszy. Ale przecież i on odszedł z domu, jak od stołu po skończonym obiedzie i do niczego się nie poczuwa. Pewno dużo w tym i mojej winy: przyzwyczailam ich od śmierci ojca, że sobie ze wszystkim sama daję radę. I teraz mam. Nie chcę przyjąć do wiadomości, że się zestarzałam i — co tu dużo mówić — zdarłam. Ze tylu już rzeczy nie mogę, że się byle czym męczę, że już bym chciała, żeby się o mnie ktoś choć trochę troszczył, czasem o mnie pomyślał... Nic z tego. Widocznie uważają, że nadal obowiązuje mnie samobieradztwo, że powinnam być samowystarczająca. Henryk też na mnie liczył pod tym względem. Mówił: „Ty jesteś mocna, ho, ho, mocniejsza ode mnie”. Może to i była prawda, ale trzydzieści pięć lat temu.

Nieraz już sobie myślałam, dlaczego nie wyszłam drugi raz za mąż. Co prawda, po wojnie wyglądałam jak nieboskie stworzenie: wychudłam wtedy na szczapę, nie miałam się za co ubrać, zadbac choć trochę o urodę. Harowałam na tych basalyków jak koń, walczyłam o dach nad głową, o buty dla nich, o książki, o zarcie...

ZOFIA LORENTZ

BYŁAM TAM ZNOWU

(OPOWIADANIE)

Polaków”. Miał na myśli naszych synów. Łatwo było zalecać. Leży sobie od trzydziestu pięciu lat w tej kutnowskiej ziemi i o nic go głowa nie boli. A ja przez ten czas? Co tu dużo mówić: wychować takich dwóch basalyków, a jeszcze w tamtych czasach, to była sztuka nie lada. A jeszcze na dobrych Polaków. O jakim modelu Polaka myślałam? Pewnie sobie podobnym. Nie mógł, biedota, przewidzieć, w jakim świecie przyjdzie im żyć, to prawda. Ale ładnie by wyglądał, gdybym ich według jego modelu chowała. I tak jeszcze dziś mi wymawiają, że im pchałam humanizm na siłę. „Dzisiaj trzeba być twardym” — to ich maksyma. A nie rozumieją, bęwały, że my też potrafiliśmy być twardzi. A nawet niezlomni. Ale ten towar u nich nie w cenie.

Więc kiedy tam siedziałam na ławeczce, bo nawet ławeczka gmina wystawiła, i też z brzoźowego drzewa, podeszła do mnie stara babina, pasąca w pobliskim rowie krowe.

Powiedziałam — Pochwalony — bo sam wiek babki mi to zalecał.

— Na wielki wieków — odpowiedziała skwapliwie i zaraz zapytała: — Syna tu macie?

— Męża — odpowiedziałam, bynajmniej ciekawością jej nie dotknięta.

Pokiwała głową. — Dobre i to, że chociaż grób wiadomy. Mój ta nie wrócił z pierwszej wojny i psi wiadom, gdzie kości złożył.

— Nie próbowaliście przez Czerwony Krzyż?

— Pani, gdzie mnie tam było w dawne czasy do Czerwonego Krzyża! Pół wsi nie wróciło, gdzie by ich, a choćby i ten Czerwony Krzyż szukał.

— Ale dzieci po nich chyba zostały?

— A zostały, zostały. A teraz to już jeich wnuki rządzą. Tylko starej babki żaden nie uszanuje, bo powiadają, że to niemodne. Ale gront po starej dziedziczyć to modne.

— Ale chyba do roboty już was nie pędzą?

— Nie pędzają, bom już, pani, nie wydolno.

— Ale krowę pasiecie?

— Pasę, pani, bo mi się w chałupie przykrzy. Ale tu se przynde, w rowie siende, albo i na tej ławce żołnierskiej, słoneczko grzeje, pszczołki latają, ptaszki świrgola — co mi więcej trza?

— A wtedy, w trzydziestym dziewiątym, we wrześniu — byliście tu?

— W te ostatnie wojne? Przecie że byłam. Pół wsi z dymem poszło. Moi pociekl do lasa, a ja się ostałam, bo mi było wszystko zarówno. Tyle, że w zima na strzyżek, żeby widzieć, jak Niemce bedom śli.

— I przyszl?

— Nie przyszl. Z daleka strzyłoli i z daleka wieś zapolili. A jeszcze nasi roz tendyktą masierowali. Tom ze strzyżku szlaza i jabłek im na drogę dała. A tyż jajków pare, bo akuratnie kury w sianie znieśli. Bo się bojały widac tego strzyżania i po drabinie, ścierwy, na strych wlaży, żeby sie tu nieśc.

— A oficer z nimi był?

— Bel. Ino jak wyglądał to już nie baczę.

— Może to był właśnie mój mąż?

— Mogło tak być, bo ludzie zaś potem godali, że taki jeden zagubiony

tem, że są tak silne nawet we wspomnieniach jak sama śmierć.

Bo stawał wtedy człowiek nagle wobec Wielkiego Wyboru, wobec Wielkiego Rozpoznania, wobec zupełnie Nowej Oceny siebie i całego otaczającego świata. Ktoś, kto nie przeżywał tego wszystkiego, dziwi się tej klasyfikacji na „przed” i „po” wojnie. A mnie dziwi zawsze to niezrozumienie tak prostej przecież sprawy.

Ostatnia wojna, jak chyba żadna przedtem, odkryła prawdziwą wartość człowieka, zarówno w złym jak i dobrym. Ukazała namacalnie nietrwałość wszelkiego dobra materialnego i nieograniczoną ludzką wytrzymałość. Jakże się tu rzec wiedzy, tak krwawo zdobytej? I dlaczego mam o nich zapomnieć? Właśnie tego nie rozumiem: dlaczego mają mi za złe, że pamiętam?

Czasem myślę, że „oni” nam zardroszczą. Co prawda, moi chłopcy brali już udział w konspiracji. Więc mają też wspomnienia z tamtych czasów. A ich żyły?

Pamiętam hecę z tą starą kanapą — historia nie z tej ziemi: szli ulicą jacyś dwaj faceti i niesli starą kanapę. Zatrzymał ich patrol, wylegitymował i zabrał se sobą. Kanapę zostawił na środku jezdni. Odchodząc spojrzeli bardzo znacząco na moich chłopaków, którzy stali w bramie.

Miś z Wickiem, nie w ciemnie bici, nawet nie czekając, aż tamci znikną za rogłem rzucili się do kanapy i już ciągną do bramy. Wyskoczył dozorca z pyskiem, ale go poskromili jednym mrugnieniem oka. Zdziwił się tylko ich młodoci: że taka smarkata ta „obstawa”. Potem zapytał, czy wiedzą, co w tej kanapie jest. Powiedzieli na chybił trafił, że karabin maszynowy.

Trochę się stropił, ale otworzył komórkę i wspólnymi siłami wtaszczyli tam to pocziwe kanapsko. Potem wszyscy trzej pokładli się na ziemi i pruli sprężynowe dno. Żeby się przekonać. Witek pierwszy namacał żelastwo.

— Musi tu zostać do wieczora — zdecydował tonem wykluczającym jakikolwiek sprzeciw. — Damy znać, gdzie należy. i o zmroku przyjdą po niego.

— Po czym ich poznam? — dopytywał się dozorca — bo to dziś lakoma rzecz — mówił. — Żeby nie wydać byle komu.

— Powiedzą, że przychodzą od ciotki Karoli. — To wymyślił Michał.

— Dobra jest. A kiedy będą? Bo żeby mnie aby zastali.

— Jak się ściemniać zaczyna, to już pan musi pilnować.

Możecie sobie wyobrazić, co się w domu działo, jak przylecieli z tą wiadomością? Widzę jeszcze dziś ich rozradowane miny. Mieli dobrą zaprawę, co?

Więc byłem tam znowu pod Kutnem. Jeden z moich synów ma samochód, ale skoro nie pamięta... Pojechałam pociągiem, a potem wlokłam się ten kawał plechofa. Zmęczylam się okropnie. Już widocznie nie na moje siły takie eskapady. Wróciłam do Kutna autostopem. Szofer do leż się śmiał, że taka starsza babka samochody na szosie zatrzymuje, ale podwiózł mnie na sam dworzec.

Boże, ile oni wtedy jedli! Ponętna wtedy nie byłam, nie. Chociaż miałam okazję — kolega Henryka. Znałszy się dawno i on się podobno kiedyś we mnie kochał. Nie był specjalnie urodziwy, ale mundur leżał na nim... zaraz, zaraz, nie był przecież zawodowym oficerem, no, ale widocznie chodził na ćwiczenia, skoro zapamiętałam go właśnie w mundurze. Odnalazł mnie po wyzwoleniu, był też wolny. Ale nie wyszło. Z powodów może dziś trochę śmiesznych, ale wtedy ważnych: nie walczył w czasie wojny. Należał do klikli Rydz-Smigliego, długi czas siedział z nim w Rumuni... Ani ja, ani moje chłopaki, krótko mówiąc, nie szanowaliśmy takich facetów. Chociaż poza tym był porządny człowiekiem. Miał dobry zawód: był inżynierem-mechanikiem, może pomógł by chłopcom... No, ale ten Rydz-Smigły mnie zczopował.

Teraz mieszkam sama. Michał wzenił się do mieszkania teściów, a Witek zdobył pokój z kuchnią w nowym budownictwie. Mam spokój. Chodzę spać, kiedy chcę, nikt mnie po nocach nie budzi, nie wycykuje z obiadami, nie odbieram idiotycznych telefonów od różnych „babek” — jak się to dziś mówi — nie nastluchuję późnym wieczorem warkotu motoru wprowadzanego do bramy, nie czekam na zgrzyt klucza w zamku — zwiastuna szczęśliwego powrotu skądś tam... Nie ma nic głupszego na świecie nad matczyne serce, wiecznie troszczące się o zdrowych i silnych chłopców.

Nie mogę powiedzieć, żebym nie lubiła swego obecnego mieszkania, chociaż zostałam w nim sama. Ale coraz częściej wracam myślą do dawnych mieszkań warszawskich. Bo że mieszkam w Łodzi, to tylko wynik powojennych wcale nie najszcześniejszych okoliczności...

Kiedy po wyzwoleniu pierwszy raz jechałam do Warszawy, chłopcy błagali mnie, żebym im przywoziła coś na pamiątkę z naszego mieszkania. Ba, łatwo im było prosić, ale kiedy powędrowałam tam, na ulicę Zajęcą i weszłam na czwarte piętro... no, cóż, wyglądało to jak klepisko, tyle że bez dachu i ścian. Gwizdał tu wiatr i zwiewał resztki piachu czy może popiołu? Rozejrzałam się bezradnie i zatrzymałam wzrok na miejscu, gdzie dawniej stał piec. Coś wystawało tam, coś stercało, coś nareszcie konkretnego na tej pustyni. Schyliłam się i wyciągnęłam... kafel. Tkwił tam jeden jedyny, ale był, ostał się, mogłam go zabrać dla moich chłopaków, kafel-symbol. Niestety zgubił się potem. Przepadł bez wieści. A szkoda! Dobrze by było spojrzeć na niego od czasu do czasu jak na starego przyjaciela, z którym nie potrzeba słów, aby się zrozumieć.

Henryk tego wszystkiego nie przeżywał. Dał z siebie, co miał najlepszego i zszedł z widowni. Spelnil się w szesnascie dni wrzesniowych. Jezeli jeszcze żyje, to tylko w moim sercu. A więc nieduzo mu zycia zostalo, bo... et, szkoda mowic! Ale bylam tam u niego jeszcze raz, bylam.

MAREK ANDRZEJ OKOŃSKI



Lampka czerwonego wina
Przyćmiony blask świec
Szeptu dwójga ust
Szeptu i westchnienia

Przyzwyczailiśmy się
do budowania obrazów
ozdobionych detalami
których magiczna siła
ma potwierdzać nasze racje
A przecież
na tylnej ścianie szafy
pająki tkają sieć
A przecież
w każdym rogu
staje się niepokój



Komwojażer
świata spraw codziennych
instytucji szanowanej przez ogół
z walizką
w której życiorys
i język potoczny
(elementy gry przypadków)
zakrywają dno
Z walizką w rękach
przesuwa się do przodu
jakby nigdy nie
nie było w nim
zalepione plasterem
w miejscu pęknięcia

EWA FILIPCZUK

POWRÓT ODYSA

Krew mnie okrywa i moja jest droga
prosta srobą mroku, niepewności, znaków.
Zmęczony sobą chciałbym tu pozostać,
choć najbliższa gwiazda jest Itaka.

Nie mam wyboru. Przeznaczone imię
niesie odwagę, jakiej zechcę losy.
Słodsza od żony, jej przedzy i wiary
piękna dziewczyna czesze białe włosy.

Ślepy czarodziej odprawia kabale.
Karty są wierne, smak ojczyzny mają.
Ciała dziewczyny pachnie słonym wiatrem,
Od jej nagości brzegi łak wzdierają.

Tak poświęcony twym szlachetnym dioniom,
ty moja wierna, ty, której nie pragnę,
stając przed czułą dziewczęcą postacią
i widzę tylko roztańczone żagle.

Ponad załoką chłodny dotyk świtu.
dźwięki muzyki przywołują pamięć
o mej wierzności i o moim mście;
wtedy ślepowi dziewczęce oddaje.

Zono, umarłaś? Widzę gniazda puste
po zagubionych w ciemnym niebie ptakach;
wołają ciebie. Dziewczyna na próżno
swymi czarami bieg wody odwraca.

Może mnie czekasz i płaczesz nad zdradą;
w krwi i zwycięstwach czujej losu brzemie.
W prociwach ślepa moim przeznaczeniem
jest brak miłości. Jest droga do domu.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI



co to jest dzień — pytasz o zmierzchu
zanim sen
powtórzy się w tobie:
stara cerkiew wilgocią czekająca wiernych
grzechotnik ukryty w prostokątnym pudełku
zbyt wielki tłum tramwajowych dzwonek...

przychodzi mrok
ze stu pięćdziesięcioma dwoma imionami na ustach
biało-srebrnymi lichtarzami —
odchodzi wzrok
z odciętym ramieniem
i sumieniem
w zmokniętym piasku...

Zima wiosną zakwita,
lato starzeje się w jesień,
Pytasz.

Odpowiedzi są puste jak gliniane dzbany
im większa w nich pustka — tym głośniejsze
echo się poniesie...

NOTY POLITYCZNE

„CORRIERE DELLA SERA”
— MEDIOLAN

Światowa Rada Kościołów posiada dokumenty zawierające dane z przelotu 3.089 skarg od ofiar terroru junty chilijskiej. Dokumenty te dają pewne wyobrażenie o tragedii narodu Chile. I tak, na przykład z 71 nieletnich więźniów junty — 15 zamordowano podczas tortur; z 219 aresztowanych kobiet, zmarło w więzieniach 49, jedną rozstrzelano, 6 skazano na długoletnie więzienia, wszystkie traktowano ze zwierzęcym okrucieństwem. W więzieniu „Texas Verdez” działa specjalna sekcja do torturowania kobiet. Niemal wszystkie, którym udało się uciec z więzienia z katowni junty, musiały się poddać leczeniu psychiatrycznemu, niektórzy postradali rozum. W ciągu ostatnich jedenastu miesięcy junta rozbiła i udoskonaliła aparat niszczenia ludzi zarówno w zakresie represji, jak i fabrykowania procesów. Jeden z ostatnich, o którym informacje przecieki do prasy zagranicznej, zakończył na niskich wynagrodzeniach za pracę się wyrokem śmierci na czterech oskarżonych i 407 latami ciężkiego więzienia, na pozostałych 63 oskarżonych. Proces nie był oparty na żadnych normach prawnych.

„DEUTSCHE VOLKSZEITUNG”
— DÜSSELDORF

Liczy te nie mogą nie wzbudzić trwogi: w ciągu siedmiu lat ilość małych wydawnictw w RFN zmniejszyła się o 38,6 proc. 28 największych wydawnictw wydaje dziś ponad połowę wszystkich gazet codziennych (ok. 18,2 miliona egzemplarzy). Niewielka grupa gigantów prasowych nadaje ton opinii publicznej. Niedawno ciężki cios zadano wolności prasy w Badenii-Wirtembergu, gdzie 3.500 drukarzy stanęło nieoczekiwanie przed faktem powstania monopolu na czesne z „Stuttgarter Zeitung”. Bezpośrednie następstwa tej zatajonej akcji, to bankrutstwo wielu gazet powolnie zamiera, widmo zwolnień z pracy i ograniczenie zdobytych społecznych mas pracujących.

Przy pomocy demonstracji, organizowanych początkowo przez miejscowe związki zawodowe drukarzy i jednocześnie dziennikarzy, udało się zwrócić uwagę opinii publicznej na te skandaliczne fakty. Zacięta walka o gazetę „Bremer Nachrichten” rozgorzała między koncernem Springera a wydawnictwem „Weser — kurier” w Bremie, gdzie zarysowała się groźba powstania totalnego monopolu gazetowego. Nad setkami pracowników gazet zawisła groźba zwolnień z pracy. Wrzenia w typografiach przekształciły się w spontaniczne strajki. Wreszcie „Bremer Nachrichten” w 1952 roku jej istnienia, sprzedaż, w wydawnictwie „Weser — kurier”. W kraju związkowym Nadrenia Północna — Westfalii związki zawodowe poligrafików, uprzedzając dalszą koncentrację prasy w Essen, Dortmundzie i Kolonii przedłożył dwa projekty umów zbiorowych, dających pracownikom prasy prawo do rozstrzygnięcia problemów ekonomicznych i kadrowych, a także kwestii dotyczących treści publikacji. Związek oczekuje do 14 września na zgodę właścicieli gazet rozpoczęcia rozmów. Jeżeli rozmowy nie rozpoczną się do 14 bm., związek — zrzeszający 90 proc. wszystkich pracowników wielkich wydawnictw — ogłosi strajk powszechny.

„INTERNATIONAL HERALD
TRIBUNE” — PARYŻ

Upadek junty wojskowej spowodował odrodzenie społecznej, wiodącej satyrę politycznej, którą tak lubią Grecy. Ateńskie music-halle wprowadziły do programu i parodie, które prześcigały tłumy widzów. Szczególną popularnością wśród Ateńczyków cieszą się przedstawienia plenerowe pod nazwą „Naród zwyciężył” w teatrze „Metropolitan”. Huraganem braw wita publiczność występy komika Stavrosa Paravasa, który powrócił niedawno z obozu koncentracyjnego na wyspie Yra, gdzie „czarni pułkownicy” wzięli swoich przeciwników politycznych. Na wszystkich przedstawieniach krytykuje się członków junty. Ogromna popularnością cieszą się zakazane przez juntę pieśni Mikisa Theodorakisa.

„POINT” — PARYŻ

W Paryżu otwarto 21 japońskich restauracji, a około 5.000 Japończyków mieszka już stale w stolicy Francji. Co roku odwiedza Paryż około 300.000 japońskich turystów. Jednakże nie turystyka jest główną przyczyną tak masowego napływu do Paryża mieszkancom dalekich wysp, lecz szczegółowa penetracja możliwości zbytu japońskiej produkcji. Na Avenue de l'Opera w Paryżu Japończycy czują się niemal jak u siebie w domu: filie japońskich banków sąsiadują tu z japońskimi ośrodkami kulturalnymi, japońskimi restauracjami i oszatniającymi sklepami. Na drzwiach większości tych bogato zaopatrzonych magazynów widnieją tabliczki: „Personel mówi po japońsku”. Jakiś japoński kolonia w Paryżu, składająca się w jednej trzeciej z wydajnej własnej kof handlowych Japonii, wydaje własną gazetę w nakładzie 20.000 egzemplarzy. Przypuszcza się, iż liczba Japończyków we Francji będzie się zwiększać z każdym rokiem. W każdym razie na jednym francuskiego turystę w Japonii przypada dziś dziesięciu turystów japońskich we Francji.

(J. C.)

Masy pracujące Hiszpanii z radością powitały portugalską „wiosnę”. Jednocześnie prasa rządowa stara się na wszelkie sposoby podkreślić trudności, z jakimi boryka się obecnie Portugalia, a także Dania, RFN i Włochy, żeby pokazać „niebezpieczeństwa demokracji”. Milczy natomiast na temat głębokich sprzeczności nurtujących Hiszpanię, które wskazują na istotę „przemian”, którymi tak szczeni się rząd gen. Franco. Ale nieraz ujawniają się one same i to bardzo wyraźnie.

Weźmy na przykład fakt, że Franco wybrał na następcę premiera Carreño Blanco (zginął w zamachu), byłego ministra spraw wewnętrznych w rządzie tegoż Blanco — C. Novarre, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo i porządek publiczny. Właśnie Novarro powinien był zapobiec od dawna już przygotowywanemu zamachowi na życie Blanco, który był przecież prawą ręką caudillo. Przypuszcza się, iż wybór padł na Novarre, ponieważ bardzo sprawnie kierował policją i przeorganizował ją na wzór „zachodni”. Poza tym był kiedyś merem Madrytu i w przeciągu kilku lat zrealizował gigantyczny plan budowy licznych obiektów użyteczności publicznej, które przekształciły stolicę Hiszpanii w jedno z najbardziej zmotoryzowanych miast zachodniej Europy. Ale dopiero dziś wiadomo na pewno, iż Franco wybrał go przede wszystkim dlatego, że Novarro zapewniał mu absolutne i nieskrępowane kierowanie krajem, Novarro nie przydał swemu rządowi „politycznego zabarwienia”, gdyż jest człowiekiem „bez koloru”, biurokrata, a przy tym jednym z pierwszych falangistów. Falanga zadawała od Franco „powrotu do początku”; caudillo zadośćuczynił temu żądaniu, włączając w skład rządu wielu falangistów. Warto jednak zwrócić uwagę, iż nie ma wśród nich ani jednego ekstremisty.

Falanga była zawsze przeciwna powstawaniu rządu politycznego „zabarwienia” i od początku prowadziła wojnę z Opus Dei, a głównie z technokratami, takimi jak Ullastres, Novarro Rubio, Lopez Bravo, Lopez Rodo, którzy dali impuls ekonomicznemu boomowi, starając się nadać Hiszpanii „odcienie demokracji”. To właśnie falanga nazwała Opus Dei świętą mafią i tepila ministrów z Opus Dei za ich hasło: „Tylko praca i żadnej polityki”, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że i Lopez Bravo, i gen. Franco prowadzili właśnie „wielką politykę”.

Nie analizując głębiej działania mechanizmu władzy frankistowskiej, na co potrzeba by sporo miejsca, pozostajmy przy zarejestrowaniu faktu, iż caudillo, koniec końców, musiał usunąć z rządu ostatniego ministra z Opus Dei i włączyć doń wielu umiarko-

wanych falangistów. Przeprowadzając ten manewr Franco przydał mu pozorów „demokratyzacji”, powołując na przykład, „liberala” Cabanillasa na stanowisko ministra informacji, jak również kontynuując politykę rozwoju ekonomicznego. W ten sposób wymienił technokratów z Opus Dei na technokratów z wydziału ekonomicznego instytutu „Deusto”, założonego przez jezuitów. Najbardziej

nie ma wolnych związków zawodowych. Strajki są zakazane. A mimo to wszyscy robotnicy stajkąją. W 1969 roku Hiszpania zajmowała czwarte miejsce w zachodniej Europie pod względem liczby strajków. Na pierwszym miejscu stały wówczas Włochy, na drugim — Anglia, na trzecim — Francja, na czwartym — Hiszpania, na piątym — RFN i na szóstym — Belgia. Ale w „klasyfikacji” tych

w obliczu krachu. Według prognoz ekspertów ekonomicznych, deficyt ten wyniesie w tym roku około dwóch milionów dolarów. Tysiące emigrantów wraz z rodzinami powrócą do kraju. Zwiększy się bezrobocie, wzrosnie napięcie społeczne. Rezerwy walutowe, które zwiększyły się w latach „rozkwit”, zmniejszą się gwałtownie.

Dodajmy do tego, że koszty utrzymania rosną: w pierwszym kwartale 1974 roku wzrosły one o 3,1 proc. W tym samym okresie czasu inflacja zwiększyła się do 13,1 proc. Chociaż wynagrodzenia za pracę kontroluje rząd, to jednak średni miesięczny realny dochód Hiszpana jest niezwykle skromny. Świadczy to o tym, iż „cud” w Hiszpanii osiągnięto w dużym stopniu na rachunek ludzi pracy, którzy musieli mocno zaciągnąć pasa otrzymując grosze, podczas gdy koszty utrzymania pozostawały wysokie, a zyski przedsiębiorstw niestannie rosły.

Tak zwana „nowa Hiszpania”, reprezentowana przez średnią i wielką burżuazję, okrzepła w wyniku ekonomicznego boomu, odrzucała ideę zmiany reżimu dopóki „cud” trwał, licząc się z tym, iż byłoby to dla niej mocnym ciosem. Teraz, kiedy „cud” zatrzymał się w miejscu, burżuazja również obawia się zmiany reżimu, ponieważ kryzys polityczny ujawniłby wszystkie defekty obecnego systemu. Zmienie reżim — to znaczy zgodzić się na uderzenie od dołu, na rewizję całego mechanizmu państwa. A na to burżuazja nie chce pójść.

Krótko mówiąc, „nowa Hiszpania” chciałaby mieć większe swobody i mniej agresywną policję, nie odznaczając się jednocześnie od Franco. Ale największy niepokój wzbudza coś innego: w tym roku Franco skończy 82 lata, a zatem zbliża się okres „pofrankistowski”. I dziś, mniej więcej trzy czwarte Hiszpanów oczekuje zmiany reżimu. Pozostała czwarta część, przeciwna jakimkolwiek zmianom, składa się prawie wyłącznie z ekstremistów faszystowskiej falangi.

W oczekiwaniu na okres „po Franco”, wszystkie konserwatywne warstwy społeczeństwa hiszpańskiego starają się zdobyć konieczne atuty, by móc je wyłożyć na stół, gdy zajdą oczekiwane zmiany. Właśnie te warstwy żądają twardej kontroli „ładu społecznego” i usiłują nie dopuścić do uderzenia od dołu, a zatem do ciosu idącego od klasy robotniczej.

Droga do wolności usiana jest cierpieniami. Zdobyć wolność nie jest łatwo. Przeciwny Hiszpan doznał zawrotu głowy od tego słowa, kiedy w Portugalii obalono faszystowski reżim. Teraz z niepokojem śledzi akrobatyczne sztuczki ludzi stojących u władzy, którzy reprezentują interesy różnych grup i grupki. Działają „ruch narodowy” (czyli falanga — nazywana tak od 1950 roku) ze wszystkimi jego podgrupami. Istnieje silna i wpływowa grupa w armii. Kościół i Opus Dei także mają swoje plany. Walczy o władzę aktywna grupa związana z Juanem Carlosem...

Na tle głębokiego kryzysu politycznego, jaki przeżywa reżim gen. Franco, trwa ostra walka o władzę.

JERZY CZECH

HISZPANIA

NOWY ETAP WALKI O WŁADZĘ

wpływowy spośród nich — minister finansów Barrera jest drugim zastępcą szefa rządu. Hasło nie uległo zmianie: „tylko praca i żadnej polityki”, ale z jedną różnicą: ministrowie z Opus Dei mówili, że polityka jest im obca, ale tkwili w niej po uszy, i to właśnie była polityka Opus Dei. Technokraty z „Deusto”, wytrawni, bardziej zręczni i bardziej umiarkowani, nie wypowiadają się tak otwarcie i pozostawiają rządowi faszystowski sztyl.

Francisco poszedł na „przemiany” mając na widoku wejście Hiszpanii do Wspólnego Rynku oraz zmniejszenie, choćby w pewnym stopniu, następstw wydarzeń w Lizbonie. Franco wiedział o przygotowaniach do przewrotu w Portugalii. Jest przecież przyjacielem Caetano, a ten czuł pismo nos. Caetano liczył nawet na to, iż pozostanie głową rządu portugalskiego, ale ekstremiści generalnie wciągnęli go na dno. Jednakże „liberalizacja”, która objęła na razie tylko prasę, wywołała od razu oburzenie prawicy. Wydawca prawicowej gazety „Fuera Nueva”, Blas Pinar, ostrzegł, że „wojna domowa nie jest jeszcze zakończona”. Franco wie, że pozorna „depolityzacja” działalności rządu może się odbywać tylko pod warunkiem nieustannego „cudu ekonomicznego”. Ale jeśli „cud” przestanie funkcjonować — sprzeczności wewnętrzne doprowadzą do wybuchu.

W ostatnich latach nazywano Hiszpanię „śroziemnomorską Japonią”. Istotnie, do Japonii upodabiał ją szybki rozwój ekonomiczny oparty na niskich wynagrodzeniach za pracę, co w pewnym stopniu sprzyjało wzrostowi produkcji, na zagranicę inwestycjami, które obciążano tutaj małymi podatkami, oraz na wysokich barierach celnym. W Hiszpanii

miejsce brano pod uwagę nie fłość strajków, lecz ich długotrwałość. Strajki w Hiszpanii są krótkotrwałe, ponieważ zaraz interweniuje policja i wojsko.

Mimo rozszerzania się ruchu strajkowego, w 1972 roku indeks wzrostu produkcji przemysłowej był wysoki: 10,7 proc. W 1973 roku wyniósł on 8 proc., w 1974 roku wyniósł około 2,5 — 3,0 proc. A indeks inflacji, który w 1973 roku osiągnął 15 proc., co było europejskim rekordem, w tym roku zwiększył się do około 16 proc.

I w taki oto sposób „cud” się skończył, czego obawiano się tutaj najbardziej.

Daje się w znaki kryzys energetyczny. W 1973 roku kraj wydatkował 55 miliardów pesetów na import ropy. W tym roku będzie on kosztował 177 miliardów.

Spadek ekonomiczny, który przeżywały liczne kraje kapitalistyczne, odbił się na turystyce. Liczba zagranicznych turystów na Wyspach Kanaryjskich zmniejszyła się zimą ubiegłego roku o 20 proc. Latem tego roku mały turystów zanotowano w takich nawet modnych kurortach, jak Wyspy Balearskie, Costa-del-Sol, Costa Bravo i inne. Jeśli pierwsza pozycja dochodu Hiszpanii stanowi turystyka (34 miliony turystów w 1973 roku, dwa miliardy dolarów dochodu), to druga wielką pozycją są pieniądze przekazywane emigrantów. W 1973 roku wpływy od hiszpańskich robotników — emigrantów wyniosły 1,2 miliarda dolarów. Ale obecnie, w związku ze zmniejszeniem produkcji w krajach EWG, spowodowanym ogólnym spadkiem ekonomicznym, robotnicy hiszpańscy tracą pracę w pierwszej kolejności. Przypuszcza się, że jeśli tempo produkcji w RFN, Belgii, Holandii i Francji będzie się obniżać nadal, hiszpański bilans płatniczy stanie

— W KIERUNKU DALSZEGO ODPRĘŻENIA — KŁOPOTY W EWG — PREZYDENT FRANCJI ODWIEDZI POLSKĘ

Agencje poinformowały, że w Genewie zakończyły się dwutygodniowe obrady sesji komitetu przygotowawczego do światowej konferencji, której zadaniem będzie podsumowanie realizacji układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej. Konferencja ma się odbyć w przyszłym roku, po jeszcze jednej sesji komitetu przygotowawczego, której termin ustalono na luty 1975 rok.

Przypomnijmy, że do układu przystąpiły 83 państwa i że spełnia on ważną rolę w hamowaniu zbrojeń jądrowych. Z państw, dysponujących tą bronią, dotychczas nie złożyły swoich podpisów pod układem Francja i Chiny. Rozszerzenie liczby sygnatariuszy oraz pełniejsze wykorzystanie postanowień układu do nierozpowszechniania broni jądrowej — oto tematy, przewijające się przez sesję komitetu. Oczekuje się, że przyszłoroczna światowa konferencja umożliwi pełniejsze omówienie problemów rozbrojenia oraz pokoju i bezpieczeństwa.

Wysuwam tę informację na czoło wydarzeń tygodnia, aby podkreślić, że po prawdopodobnym zakończeniu Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy jeszcze w bieżącym roku, (właśnie w Genewie rozpoczął się ostatni fragment II

etapu), w przyszłym — zwołane zostanie światowe forum dla dyskusji nad problemem nierozpowszechniania broni jądrowej. W ten sposób jeden z najistotniejszych problemów naszych czasów stanie się przedmiotem powszechnej wymiany poglądów. Okres odprężenia, w jakim żyjemy, może rokować dobre wyniki konferencji.

Z nową inicjatywą, służącą wzmożeniu bezpieczeństwa międzynarodowego, wystąpił na forum ONZ Związek Radziecki. Przedłożył on propozycję zakazu oddziaływania na środowisko naturalne i klimat w celach wojskowych i innych, nie dających się pogodzić z interesami bezpieczeństwa, dobrobytu i zdrowia ludzi. Radziecka propozycja wzbudziła duże zainteresowanie, ponieważ kładzie tamę możliwościom wykorzystania otoczenia człowieka przeciwko człowiekowi.

Do faktów, będących przejawami postępującego odprężenia zaliczyć trzeba informację o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między NRD i USA. Tak więc już 111 państw uznało Niemiecką Republikę Demokratyczną. Wprawdzie Stanom Zjednoczonym potrzebny był prawie 25-letni okres (Związek Radziecki nawiązał stosunki diploma-

tyczne 15 października 1949 r.), aby dojrzeć, że między Łabą a Odrą istnieje samodzielne państwo, lecz — jak głosi prysłowie — lepiej późno niż wcale. Rola, jaką USA odgrywają w świecie oraz pozycja NRD w Europie każą kwalifikować nawiązanie stosunków dyplomatycznych między obu krajami do rządu wydarzeń, sprzyjających bezpieczeństwu na naszym kontynencie.

Trudno w tym miejscu powstrzymać się od pewnej refleksji. Kiedy uprzytomnimy sobie, że jeszcze przed kilkunastu laty prosperowała tzw. doktryna Hallsteina, a przed kilku laty NRD nie mogła zajmować należnego jej miejsca nie tylko w ONZ, ale również licznych wyspecjalizowanych organizacjach międzynarodowych — najlepiej można ocenić ogrom przebytej drogi. Torowało ją zawsze realistyczne stanowisko krajów socjalistycznych, które też mogły odnotować omawianą wiadomość na koncie swoich sukcesów.

Wrzesień jest tradycyjnie początkiem ożywionego sezonu dyplomatycznego. Prezydent Francji — Giscard d'Estaing zainaugurował go i inicjatywą, żywo komentowaną w prasie zachodniej. Zaprosił on bowiem na najbliższą sobotę szefów rządów wszystkich państw EWG do Paryża. Zaproszenie mówi o „prywatnym obiedzie”, ale też o tym, że w czasie jego trwania omówiony zostanie „obecny stan problemów europejskich”. Nietrudno skojarzyć tę inicjatywę z wcześniejszą — zwołania szczytu EWG pod koniec bieżącego roku. Obiad ma być więc etapem przygotowawczym do późniejszego oficjalnego spotkania. Z francuskich źródeł miarodajnych

przeniknęła informacja, że prezydent Francji ożywił właśnie ideę budowy Europy i temu właśnie zagadnieniu chciałby poświęcić rozmowy ze swymi partnerami. Stolicę krajów „dziewiątki” krzysztynie zareagowały na inicjatywę Giscarda d'Estainga, gdyż sądzą, że może ona wyprowadzić EWG z jej obecnej stagnacji. Jednakże mniejsze kraje: Holandia, Dania, Irlandia obawiają się równocześnie, że w rezultacie spotkania na szczycie zdominowane zostaną przez Francję, RFN i W. Brytanię.

Tymczasem w krajach EWG problemem nr 1 jest inflacja. Zwłaszcza we Włoszech i W. Brytanii, gdzie przybrała rozmiary galopujące — 20 proc. w skali roku.

Na temat inflacji konferował również z ekonomistami prez. Gerald Ford. Jak już pisaliśmy, jest to obecnie dla Stanów Zjednoczonych jeden z najistotniejszych problemów wewnętrznych.

Z dalekiego świata powróćmy do Polski, aby odnotować polsko-francuskie rozmowy polityczne, jakie toczyły się w Warszawie. Stronę francuską w tych rozmowach reprezentował minister stanu — Michel Poniatowski. W czasie wizyty w Warszawie francuski minister przyjeżdżał przez Edwarda Gierka. W czasie rozmowy, którą wypełniło omówienie stanu i perspektyw rozwoju wzajemnych stosunków oraz niektórych problemów międzynarodowych, minister stanu przekazał list Giscarda d'Estainga, w którym prezydent Francji przymiňuje zaproszenie do złożenia wizyty w Polsce w przyszłym roku.

W. ŚLAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Leżą przede mną dwie pomśmiertnie wydane książki Jana Sztudyngera. „Chwalipięta” opublikowana w Wydawnictwie Łódzkim i „Szczęście z datą wczorajszą” — wydane w Wydawnictwie Literackim. Obie głęboko mądre, nasycone człowiekiem, przepojone optymizmem i humorem. Jan Sztudynger był pisarzem wielbionym przez czytelników i nie zawsze docenianym przez „literackich urzędników”. Piszę to w cudzoziemcu, bo ani oni literacy, ani urzędnicy. Nie ma także w tym stwierdzeniu żadnego paradoksu. Czytelnicy wielbili i wielbi Sztudyngera za mądrość, optymizm, humor, życzliwość... Ci drudzy natomiast nie mogli wielbić Sztudyngera, ponieważ z reguły nie bywają czytelnikami.

Dowcip Poety nigdy nie był złośliwy, był to dowcip mądrego, kochającego ludzi człowieka. Leżą przede mną te dwie książki — obie tak różne i tak podobne zarazem. „Chwalipięta” jest świetnym, wielogodzinnym wieczorem autorskim Pisarza. Skrzępa się humorem, nasycona anegdota, mówiąca o tajnikach warsztatu, o genezie utworów,

SZTAUDYNGER

o życiu, o literaturze. Dzięki tej książce — spisanej przez córkę, Annę Kaliszewicz-Sztudyngier — do bogatej twórczości dodano nam jeszcze życie Pisarza. Jego opowieści, przygody, jego błyskawiczne riposty, z których był tak szeroko znany. Wreszcie jego „fraszki mówione”, często dotychczas nie spisane...

Ale ta książka mówi także o umieraniu. Lecz nawet ten ostatni, tragiczny akcent „Chwalipięta” nie potrafił zaćmić optymizmu — przesłonić uśmiechu Poety, który po prostu kochał ludzi i był im życzliwy.

I druga książka „Szczęście z datą wczorajszą”. Mówiąca o dzieciństwie, o młodości, o najbliższych, najbardziej ukochanych ludziach i miejscach... O Krakowie, o Myślenicach, Zakopanem, Łodzi...

I jest jeszcze w tej książce coś niezwykle cennego. Owa atmosfera i ciepło rodzinnego domu, emanujące z kart „Szczęścia z datą wczorajszą”. Właśnie „z wczorajszą”. W pierwszych dziesiątkach XX wieku rodzina, dom rodzinny były Instytucją nie tylko z nazwy, ale istoty. Wiezy rodzinne były — może nawet nie silniejsze

niż dziś — ale na pewno bardziej demonstrowane, co oczywiście nie znaczy wcale „na pokaz”.

Dziś, w szybko pędzącym świecie wygląda to nieco inaczej nie jest to rozpad, jak chcą niektórzy, ale na pewno już nie świątynia. Kiedyś Rodzina była świątynią, a pisząc to słowo nieznaczam go wcale akcentem ironicznym. Kto wie czy piękne, wzruszające karty opowieści o rodzinie Jana Sztudyngera nie są ostatnimi pięknymi kartami napisanymi przez współczesnego pisarza?

„Opowieść ta przedstawia rośnięcie świata. Pęknięcie ścian przy powiększaniu horyzontów — i pęknięcie ścianek serca. I cała jest poświęcona wspomnieniom. Nie kończy się w chwili, gdy się kończy. Trwa nadal, dostają, przybliżają się do niej nowe szczegóły. Zmieniają się perspektywy, będą na pewno jeszcze do niej nieraz wracał, tworząc nowe aleje i zagajniki, którymi przedzierać się będziemy w głąb zagadnień...”

Te słowa napisane przed blisko czterdziestu laty sprawdziły się. Książka zawiera wspomnienia sprzed lat i te wszy-

stkie „trwające nadal, dorastające” szczegóły spisywane w latach pięćdziesiątych. A przecież książka jest piękna, wzruszająca, artystycznie spójna całością — i nie ma w niej nic z charakteru „rzeczy rozproszonych”.

Leżą przede mną dwie książki. „Szczęście z datą wczorajszą” Wydawnictwa Literackiego — ze stylową wklejką baticu matki Poety, Anny Sztudyngierowej, w pięknej płócienniej oprawie, z obwoluta, fotografiami w stylu epoki, na dobrym papierze, z solidną intrologiką...

I „Chwalipięta” Wydawnictwa Łódzkiego — w obskurnej kartonowej okładce, z klejem wylazłym zza kartelek, z nierówną paginą, źle zszyta, ze zdjęciami wklejonymi „hurto wo”... Pierwszą książkę drukowano w Drukarni Wydawniczej w Krakowie przy ul. Wawowickiej — drugą w Łódzkiej Drukarni Dzielowej przy ul. Rewolucji 1905 r. w Łodzi. Im kto większy partacz, tym się dumnie nazywa.

Jan Sztudynger nigdy nie miał szczęścia do Łodzi. Smutne że tak już zostało nawet po Jego śmierci.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



ROZBIERANKA

1.

Tego wieczoru obywatelka „Bomba”, rozwódka, lat 45, ze świadectwem ukończenia sześciu klas podstawówki, nigdzie nie pracująca, która z racji samotnego zamieszkania odczuwała potrzebę towarzystwa i wzięcia udziału w życiu:

— Spalam ja już prawie, aż tu nagle słyszę chrapanie jakby śpiącej osoby, ale z drzwiami. Potem rozległo się pukanie i poznałam go głosie, że to „Królik”, więc otworzyłam. Wszedł: „Królik”, „Waldek” i „Patek”, prowadząc z sobą niezanego mi z nazwiska mężczyznę, ale w ogóle to znanego mi jako „Jurek”, bo poznałam go w mieszkaniu kateżanki, która również świadczy usługi na rzecz przygodkowo poznanych mężczyzn. „Jurek” szarpał się i coś marudził, ale „Patek” powiedział: „Odp. się h., jakiego ty szulaz płaszcza?” „Jurek” się uspokoił, a ja zaraz zasnąłam, bo byłam wypita.

Nad ranem wypita z „Waldek” wino, znalazł się też liter wódki w dwóch butelkach, ale nie pamiętam, za czyje pieniądze. Od „Jurka” żadnych pieniędzy nie brałam, ani też nie z jego rzeczy, a spod łóżka to wyciągnęłam moją czarną spódnicę. To nie była aktówka. Od „Jurka” dostałam tylko ogień, bo nie miałam zapalek, on ten o-

gień przyniósł w papierosie z ulicy. A jak przyszli milicjanci, to rozpedził wszystkich, ale „Jurek” nie mówił o żadnej kradzieży, bo on lubi korzystać z usług kobiet świadczących te usługi. Ja wszystko dobrze pamiętam, bo byłam mniej pijana od „Jurka”...

2.

Małżonka pana „Jurka”, który właściwie nazywa się J. K. i jest z zawodu technologiem, od tamtego wieczoru nie widział męża w domu przez 10 dni. Wesołej, bo w południe, odprawiła go do zakładu pracy, gdzie „Jurek” zwał rzeczy osobiste, ponieważ praca mu nie odpowiadała. Rozstali się w zgodzie.

Jak rozstałam się z „Jurem”, to poszedłem do „Powszechni”, gdzie około godziny szesnastej wypiliśmy setkę i piwo, następnie, już w „Staromiejskiej”, lampkę wina, albo i więcej, ponieważ dopiero o godzinie dziewiętnastej udałem się do domu. Nie doszedłem jednak do mieszkania, jako że na ulicy spotkała mnie żona i zrobiła straszny awanturę. Samotny i rozżalony, dręczony myślami samobójczymi, snulem się ulicami do godziny dwudziestej drugiej. W końcu nasza mnie chce spać na galerii w pewnej posesji, na pierwszym piętrze. Poszedłem tam i siedziałem sobie grzecznie na schodach, kiedy weszli trzej mężczyźni, jeden w wieku czter-

dziestu, dwaj w wieku trzydziestu lat i ten najstarszy, zwany „Patekiem”, nie nie mówiąc, chwycił mnie za kark i schował płaszc. Władował mnie przemocą do mieszkania, a kiedy się opierałem, „Patek” powiedział: — Przeszani oddychać, bo w le!

Tamci dwaj nie odzywali się i nie grozili mi, chociaż pod przymusem musiałem wypić z nimi trzy kieliszki wódki z niezanego mi źródła. „Patek” zwiózł mi dokumenty, zabrał natomiast płaszc, aktówkę z czarnego skaju, gdzie było wieczne pióro oraz suwak logarytmiczny, j.k. również schował mi z ręki zegarek marki „Atlant”, wszystko razem wartości trzy tysiące pięćset złotych, po czym wyrzucił mnie z mieszkania.

Po dwudziestu minutach wróciłem po odbiór rzeczy i zastałem kobietę, zwaną „Bomba”. — Oddam ci pieniądze za trzydzieści pięć — powiedziała „Bomba”.

Za trzy godziny przyniosłem pożyczone od ciotki czterysta pięćdziesiąt złotych i położyłem na stole: „Bomba” je zabrała, ale rzeczy nie wydała. — Ciesz się, bracie — krzyknęła na odchodne — że ci nie zrobili doszczętnie tej rozbiieranki!

Byłem wtedy pod wpływem alkoholu, ale pijany nie byłem, toteż pamiętam, że będąc świadkiem zajścia „Królik” uderzył w twarz „Bombę”, ona jednak rzeczy nie wydała. Po południu przyszedłem znowu do „Bomby” i zastałem „Królika”, który spytał, czy mam na wódkę, a urządził na mojej szyi naszyjnik ze złoty Chrystusem, powie-

dział, że możemy to sprzedać i coś wypić. Udał się do baru „Golonka”, gdzie „Królik” oddał naszyjnik pośrednikowi za 150 złotych: sto wzięłem do kieszeni, a pięćdziesiąt poszło na przelew. Milicji nie meldowałem o zajściu, dopiero jak po 10 dniach też przyprowadził mnie do żony... 3.

„Bomba”. — Nie wiem o kradzieży. Pieniądze nie brałam. „Królik” uderzył mnie w twarz nie przez pieniądze, tylko za to, że nie chciałam z nim odbyć stosunku płciowego, a ja nie lubię się oddawać przy świadkach.

„Patek”: — Nie wiadomo, kto ukradł. U „Bomby” było ciemno, światło jej wygasło, ona palił się. A zegarek to kupiłem legalnie, facet był pijany i oddał za stówę. „Waldek”, przechuwając, że wyrok tuż — tuż: — Powiem prawdę: wzięłem ten zegarek od „Pateka” pod zastaw, za sto pięćdziesiąt.

„Królik”, zupełnie szczerze: — Aktówkę zalała „Bomba”, wszyscy o tym wiedzieli. Pozostałe rzeczy każdy mógł wziąć, bo wszyscy wychodzili na chwilę z mieszkania. Ale płaszczy wyznosił do komórki „Patek”, sprzedał ten płaszczy na halach w Łodzi za czterysta złotych...

Cóż, chyba lepiej spędzić noc na dywaniku pod bokiem skłoczonej żony, aniżeli na galerii. Domowa rozbiieranka jest tańsza, a kosztami za żoną działalność kulturalna nie warto się przejmować. Zawsze jest nadzieja na rewanzu.

JAN GONTAL

WYŚCIG Z CZASEM

Już bez mała sto lat temu poczytany pan Prus wybrzydzał rodomakom ich gonitwie z czasem, posługując się historią opowiadającą o wycieczce Anglika w naszym kraju. Ponieważ nie wszyscy ja pamiętają — przypomnę, że gość z Anglii przybywszy do Warszawy był nieco zaszokowany nie tylko temperamentem mieszkańców stolicy, ale i tempem życia Polaków. Obserwując ulice miasta zadał komuś pytanie, dokąd tak spieszą ci ludzie i otrzymał odpowiedź, że gonią czas. Dlaczego, zapytał zafascynowany tą wiadomością — żeby go zabić? To prawda, że najszybszy zabili byśmy uciekający czas, ale prawdą jest również, że to, co dia przybysza z Zachodu było wówczas dziwne i anormalne, dziś nie wywołoby takich odczuć. Uważani za flegmatyków Angliki spieszą się dzisiaj nie mniej niż my w środku Europy; angażują najlepszych specjalistów i najdoskonalsze urządzenia, by — wspólnie z Francuzami — zbliżyć Londyn do Paryża i odwrotnie; ci ostatni konstruują wspólnie samoloty „Concorde”, co pozwoli w śmiesznie krótkim czasie odbyć „skok” na kontynent amerykański; nawet pozornie wyrachowani Niemcy plażą za punktualność setkami wypadków drogowych w ciągu dnia. Jak widać, nie jesteśmy odosobnieni w tym codziennym wyszyciu: zresztą, zastrzygnięte się chwile na uboczu, stwierdzamy musimy, iż przystawaliśmy się do takiego trybu ży-

cia i gdyby nagle jakiś wynalazca tysiąclecia miał nas uwolnić od świadomości ciągłego przemijania trudno byłoby nam znaleźć swoje miejsce.

Stare łacińskie przysłowie straciło dziś nieco ze swego sensu. W obecnym czasie, trawstując je, można by powiedzieć: my się zmieniamy, a razem z nami zmieniają się czasy. Nie chodzi tutaj wprawdzie o to, że między ostatnim listopadem i lutym próżno szukać zimowego śniegu ani o fakt „ruchomości” biegnąca północnego w ostatnich latach, co uczeni stwierdzili z całą stanowczością — takiego wpływu na przyrodę i jeszcze nie mamy; jednak, nie ulega wątpliwości, iż współczesna rzeczywistość i obraz świata, w coraz większej mierze, tworzy Człowiek. Oblicze naszych czasów w większym z dnia na dzień stopniu tworzymy my sami. Ciągłe maleje liczba białych plam na mapie oddziaływania ludzkości, Naprosić można powiedzieć, że ludzie sięgają do gwiazd i drążą w głąb Ziemi, docierają na dno oceanów i pokonują słabość własnego umysłu, a przecież mimo wszystko mijający czas determinuje ich. Pojmowanie świata wyłącza coraz to nowe dziedziny i zmusza człowieka do bezustannego oplatania się czasowi, do podążania z nim, do pospiechu. Niektórzy takie podążanie równoległe z czasem nazywają postępek, lecz ma on swoje złe i dobre strony. Jesteśmy wobec przemijania chwil spóźnieni z paru powodów; mię-

dy innymi dlatego, że walczymy na wielu frontach; na jednych zwyciężamy, na innych pozostajemy w tyle. W Japonii, gdzie powstają prawdziwe cuda techniki — smog w wielkich miastach staje się przyczyną zgonów; w Johannesburgu doktor Christian Barnard dokonuje transplantacji serca, dzięki czemu pacjent wydziera czasowi cenne sekundy życia, a w tym samym kraju nadal panuje rasizm.

Walcząc z umykającym czasem można nie tylko w zakresie wartości wymiernych, które niejednokrotnie świadczyć mogą o poważnym „zapasie”, o przewadze w wyszyciu.

8.90 Beamona na Olimpiadzie w Meksyku nazwano „skokiem w XXI wiek”; podobno komputery wyliczyły, że około roku 2000 lekkoatleci zaczęną uzyskiwać w skoku w dal wyniki w granicach 9 metrów, ile w tym prawdy? Na dalekiej Syberii w bliskawicznym tempie powstają nowe wieloletnie miasta; buduje się je w ciągu kilku załędwie miesięcy, ale czy nie będzie można budować ich w jeszcze krótszym czasie?

Przewaga ludzkości jest tylko pozorna. Są również osiągnięcia niewymiernie, rzekłbym niepolityczne: światopogląd, humanizm, myśli, twory sztuki. W książce „O klasyfikacji sztuk „pleknych” — Janina Makota buduje pewien schemat dokonując podziału sztuk na czasowe, przestrzenne, czasowo-przestrzenne, itd. Być może to herezja, ale przyszło mi do głowy, że każda sztuka w pewnym sensie podlega czasowi. Np. literatura — rozumem, iż aspekt czasowy posiada tutaj nie samo dzieło, ale jego recepcja, jednak jakże inaczej odbieramy dzisiaj rycerską „Chanson de Roland”,

czy utwory Marcina Bielskiego, w porównaniu z czytelnikiem z okresu ich powstania. To nie polemika z autorką; jestem przekonany, że moja refleksja nie może mieć zastosowania w tym samym układzie. Tylko naprawdę, czas zdaje się być dominanta i fenomenem współczesności. Chyba bardziej znaczącym niż przestrzeń, którą czasami choby umownie można ograniczyć, zamknąć; natomiast zatrzymanie czasu pozostaje nadal tylko w marzeniu i piosenkach. Można to osiągnąć jedynie na drodze iluzji: hodując niedoskonalecomi umysłowy i... zegarków. Mawia się często, że czas to pieniądz. Na pewno można przykrawać chwile do korzysci materialnych, lecz w obliczu wszechobejmującego przemijania warto powiedzieć o nie straconych godzinach: czas to zdobyć! I to chyba będzie słusniejsze, gdyż pośpieszne życie (a więc korzystanie z czasu) w trakcie niecierpliwych poszukiwań klucza do niesmiertelności w okolicach zera bezwzględnej, trzeciej prędkości kosmicznej czy w teorii względności, jest ciągłym zdobywaniem.

Dużo racji miał Piotr Wierzbicki („Literatura” nr 8/106 z 21.2.) pisząc, iż w dziesiętnych czasach doba staje się coraz krótsza, stulecia zdarzają się kilka razy do roku, nastolatek jest świadkiem kilkakrotnych narodzin nowej ery. Sądze, że ktoś, kto potrafiłby do każdej doby dorzucić choć godzinę, byłby geniuszem zasługującym na Super-Nagrode Nobla, bowiem we wszystkich dziedzinach przyniosłoby to pożytek. Chociaż właściwie i wówczas trwałby ten zasłony wyszyciu z czasem — 25 godzin na dobie!

KRZYSZTOF DRZEWECKI

ZBÓJNICTWO FILMOWE

Ostatnio TV wyświetla zabawny film kukielkowy pn. „Janosik”. Rzecz jest o tym, jak sobie pan Passendorfer wyobraża zbójnictwo karpackie. Zabawa kończy się w ostatnim odcinku, kiedy Janosika zawieszają na haku. Głupie to dosyć, choć realizatorzy twierdzą, że muszą dochować wierności prawdziwej historii. Ale skoro przez kilka odcinków zdradza się ową prawdę historyczną, po cóż trzymać się jej kurczowo na końcu.

W ten oto sposób Passendorfer zdradził za jednym zamachem dwie zasady. Z historii zrobił operetkę i na dodatek złamał rygory serialu szlachtetny, a koniec pozytywnego bohatera. A wystarczyło udać się po naukę do realizatorów „Siedemnastu mgieł wosny”. Pierwotny Stirlitz także zginął, ale realizatorzy zakończyli serial w momencie, kiedy bohater wraca raz jeszcze do Berlina. Wiadomo, że wracał po śmierci, ale tego już w filmie nie pokazano, aby nie łamać konwencji serialu. I słusznie.

Wróćmy jednak do Janosika. Był on postacią autentyczną, a pierwsza o nim wzmianka znajduje się w opracowanych przez Augusta Bielowskiego „Aktach dawnych sądu karnego w Stanisławowie z lat 1702—1751”. Pisze Zdzisław Piasecki w swojej rozprawie doktorskiej o zbójnictwie karpackim: „16 marca 1713 roku sąd komitatu lipowskiego z siedzibą w Sw. Mikulaszu wszczął rozprawę karną przeciwko Jerzemu Janosikowi, nazwanemu przez pisarza prowadzącego protokół sprawy „zrečnym przywódcą lotrów i zbójców rodem z Tiarchowej”. Po dwóch dniach wypełnionych „Inkwizycją” oraz „trapieniem” oskarżonego, tzn. najpierw wstępny przesłuchaniem bez stosowania tortur, a następnie wymuszaniem na podąnym zeznań poprzez zadawanie mań, sąd zakończył postępowanie ogłoszeniem następującego wyroku:

Ponieważ wyżej oznaczony Jerzy Janosik, nie bacząc tak na przykazania Boskie, jak i na prawa ojczyste, przed dwoma laty oddał się zbójnictwu i wodzem aboli hetmanem takowym się mianował, i że z tymi towarzyszami swoimi na drogach się czając, licznych ludzi z dobytku grabiał, jako też, co się z jego wyznania okazuje, jego towarzysze, kiedy on był przytomny, pana plebana z Demanicy przestrelili i bezbożnie zamordowali, jak również i innych co jest wyżej opisane, złych uczynków się dopuścił (akt oskarżenia obejmował kilkanaście napadów rabunkowych, w których Janosik miał brać udział — przyp. mój — Z.P.), dlatego za te tak bardzo złe uczynki i przekroczenia przykazań ma być na hak na lewym boku wbito i tak dla przykładu innych takich złoćczyńców powieszony.

Równocześnie z Janosikiem sądzeni byli dwaj jego kompani zbójnicy, Tomasz Uhorczyk (Uchorczik) i Jano Krutnica. Pierwszy skazany został na karę śmierci przez łamanie kołem, drugi na śmieć przez ścięcie mieczem.

Rzecz prosta nikt nie wymaga od filmu fabularnego, aby trzymał się ściśle dokumentów historycznych. Zwłaszcza że Janosik przeszedł potem do ludowej legendy, został przez nią niemal beatyfikowany. Zwłaszcza że istotnie podłożem zbójctwa karpackiego był wyzysk i określone stosunki społeczne.

Ale przecież tworząc fikcję opartą o jakieś rzeczywiste zaplecze historyczne nie można tworzyć operetki zupełnie dowolnej, nie wpisanej w żadne absolutnie realia. Pisał niedawno na tych łamach Szymon Kobylński jak nonszalanczko potraktowali realizatorzy stronę kostiumologiczną filmu. Odnosi się wrażenie, że jedynym wzorcem dla twórców filmu były drzeworyty Skoczylasa.

I tu już mamy fikcję piętrową. Stylizację Skoczylasa potraktowano jako materiał dokumentacyjny do stworzenia stylizacji (hm...) filmowej.

W efekcie mamy film kukielkowy, który udaje raz farsę, raz operetkę — a na koniec, wbrew wszelkim regułom, staje się tragedią. „Ani sensu, ani rymu” — jak mówią na Podhalu. Kiedy mojemu siedmioletniemu synowi powiedziałem, że w ostatnim odcinku Janosik zginie, dzieciak powiedział z mocą: „Nie może zginąć, rozumiesz, nie może i już”. Śmieszna sprawa, ale to dziecko ma rację — nie dyplomowany reżyser. Janosik nie może zginąć, ponieważ jest to wbrew regułom gry, wbrew wszystkim konwencjom, jakie zastosował Passendorfer w swoim filmie.

O realizatorach nie można więc nawet powiedzieć, że postąpili jak dzieci.

JERZY WILMAŃSKI



BEATLES!

W księgarniach muzycznych... w księgarniach muzycznych...

Chodzi o piękny album... Chodzi o piękny album...

A w ogóle jest dowcipny... A w ogóle jest dowcipny...

RZECZY PRZEMILCZANE

Paul Valery był wybitnym poetą francuskim... Paul Valery był wybitnym poetą francuskim...

Właśnie niedawno PIW opublikował tom... Właśnie niedawno PIW opublikował tom...

Joanna Guze, która „Rzeczy przemilczone”... Joanna Guze, która „Rzeczy przemilczone”...

Paul Valery „Rzeczy przemilczone”, PIW, cena 33 zł.

PRASA LUBELSKA

Sporo już miast i regionów Polski może się poszczycić... sporo już miast i regionów Polski może się poszczycić...

Ta ponad 300-stronicowa książka zawiera oprócz... ta ponad 300-stronicowa książka zawiera oprócz...

Oczywiście jest także miasto — Łódź... oczywiście jest także miasto — Łódź...

A Leszek Gzella „Prasa Lubelska”, Wyd. Lubelskie, cena 30 zł.

EX LIBRISY

Państwowe Wydawnictwo Naukowe w Krakowie wydało... Państwowe Wydawnictwo Naukowe w Krakowie wydało...

Stad B. J. szczył się na przykład posiadaniem... Stad B. J. szczył się na przykład posiadaniem...

Piękna książka Anny Lewickiej-Kamińskiej zawiera... piękna książka Anny Lewickiej-Kamińskiej zawiera...

Cena 40-stronicowej książki krakowskiego PWN jest... cena 40-stronicowej książki krakowskiego PWN jest...

Anna Lewicka-Kamińska „Nieznanne ex librisy polskie XVI... Anna Lewicka-Kamińska „Nieznanne ex librisy polskie XVI”...

WARTO PRZECZYTAĆ

JESIONOWSKI J. — „Przed drugim brzegiem” — MON, cena 21 zł.

GRAVES R. — „Mity greckie” — PIW, cena 21 zł.

FIEDLER A. — „Zdobycie Ameryki” — Iskry, cena 18 zł.

POZNER V. — „Wspomnienia” — KIW, cena 18 zł.

KEMBALL-COOK R. B. — „Luka organizacyjna” — PWE, cena 17 zł.

TRIFONOW J. — „Bilans wstępny”, „Długie pożegnanie” — PIW, cena 25 zł.

SAMBUR R. — „Jubiler na tropie” — MON, cena 16 zł.

WANKOWICZ M. — „W pepku Ameryki” — Iskry, cena 40 zł.

KSIAZKA ZBIGNIEWA ŻAKIEWICZA KSIĘGA SNÓW

Powieść, którą zalecam do lektury... Powieść, którą zalecam do lektury...

Konkretnie umiejscowienie w rzeczywistości... konkretnie umiejscowienie w rzeczywistości...

Zmuszony szukać dodatkowych uzasadnień... Zmuszony szukać dodatkowych uzasadnień...

Powieść Żakiewicza oraz „Wariacje... powieść Żakiewicza oraz „Wariacje”...

FILM FILM PANI LINY

Lina Wertmüller, Szwajcarka urodzona w Rzymie... Lina Wertmüller, Szwajcarka urodzona w Rzymie...

„ka” czy „Śledztwo w sprawie obywatela... „ka” czy „Śledztwo w sprawie obywatela”...

KSIAZKA „GŁĘBIA ZAWSZE CIEMNA”

„Jak wynika z tekstu „Melancholii”... „Jak wynika z tekstu „Melancholii”...

poszczególnych odmianach depresji... poszczególnych odmianach depresji...

bardzo interesującego i rzadko spotykanego... bardzo interesującego i rzadko spotykanego...

Człowiek jest dosłownie „powołany”... człowiek jest dosłownie „powołany”...

Podstawowe waki o charakterze mitycznym... podstawowe waki o charakterze mitycznym...

ta wartości. Powrót do miasta Ruda... ta wartości. Powrót do miasta Ruda...

„To sen tylko, Danielu...” jest książką... „To sen tylko, Danielu...” jest książką...

JERZY PORADECKI

Zbigniew Żakiewicz, To sen tylko, Danielu... Zbigniew Żakiewicz, To sen tylko, Danielu...

kobieta — scenarzystka i reżyser, nakazuje... kobieta — scenarzystka i reżyser, nakazuje...

Ten szokujący pomysł znalazł w filmie... ten szokujący pomysł znalazł w filmie...

Bolesław Michalek pisał w sprawozdaniu... Bolesław Michalek pisał w sprawozdaniu...

EWA NURCZYŃSKA

Jest książką dość trudną w lekturze... jest książką dość trudną w lekturze...

Jeszcze kilka uwag o edytorstwie... jeszcze kilka uwag o edytorstwie...

narzędzie metabolizmu informacyjnego... narzędzie metabolizmu informacyjnego...

Takich ogólnoludzkich, uniwersalnych... takich ogólnoludzkich, uniwersalnych...

JÓZEF DUK

Antoni Kepiński: Melancholia. Przedmowa i opracowanie Eugeniusza Brzezińskiego... Antoni Kepiński: Melancholia. Przedmowa i opracowanie Eugeniusza Brzezińskiego...

MAGAZYN

Na podwórku, wprost pod moim oknem rosła ogromna sterta śmieci.

Wreszcie nie wytrzymałem i nieomal siłą zaciągnąłem do siebie przewodniczącego komitetu domowego.

— Proszę bardzo — powiedziałam jadawic. — Nacieszcie się widokiem z mojego okna. Ta kupa śmieci zatruwa mi życie.

— A to źle — zmarszczył się przewodniczący — to źle, że są u nas ludzie, a właściwie ludziki, które niczego w życiu nie dostrzegają poza śmieciowiskiem. A popatrzcie no tam. Co tam stoi, pytam?

— Kombinat.

— No wy kombinat. A teraz tu! Co tu widzicie?

— Dom Kultury.

— Nowy Dom Kultury. Dlaczego nie chcecie na niego patrzeć? Dlaczego nie dostrzegacie jasnych, nowych bloków, parków, domów handlowych?

sypisko urządzili sobie ludzie pod moimi oknami.

— Włeczenie ten wybujały indywidualizm! Sami przyznajcie, że zjawisko jednostkowe nie należy do typowych,

W. KOTENKO A. DAWIDOWICZ ROZMOWA

Czy lepiej się czujecie, rozgrzebując wrokiem ten odrażający stos nieczystości? Selektownie dostrzegacie rzeczywistość! Zauważcie, że nikt się nie skarży, tylko wy!

— Bo nikt inny czegoś takiego nie ma. Przecież to wy-

a jednak narzekacie. Co innego gdyby przeszkadzało wszystkim. Wtedy w ramach akcji „Każdy gospodarzem swego podwórka” zorganizowałoby się brygadę lokatorów, raz, dwa i po krzyku!

— Ale co mam zrobić z tą

stertą, która przeszkadza indywidualnie? — zapytałem zrezygnowany.

Przewodniczący pomyślał chwilę.

— Mam! — oznajmił. — Nic nie stoi na przeszkodzie podejmowaniu czynów przez pojedynczych lokatorów. Podejmijcie się usuwać te odrażające śmieci i sądźcie, że to będzie najprostsze rozwiązanie.

— Skończę robotę za jakiś tydzień — mruknąłem, taksując wrokiem górę odpadków.

Gość poklepał mnie serdecznie po plecach.

— Nie martwicie się, obywatelu kochany! Roboty wystarczy! Jeżeli po tym tygodniu zechcecie się rozerwać, to możecie społecznie przekopać trawnik pod moim balkonem. W nagrodę macie pierwszeństwo w znajdowaniu sobie jakichś dalszych równie pięknych akcji.

(Literaturna Gazeta)

Przekład:
BOHDAN PIĄTKOWSKI



HORACY SAFRIN

FRASZKI TEATRALNE

Anatomia spektaklu

Autor, stawiając sobie najwyższe wymagania, chciał, by utwór sceniczny miał ręce i nogi, kręgosłup ideowy oraz język gładki... Poem przyszedł reżyser, poprawił dialogi, no i sztukę położył na obie łopatki.

Rozmowa z autorem premiery

Gdy o zdanie mnie pytał, rzekłem: „Wyznam szczerze, że oka nie zmrzyłem w tę noc po premierze”. „Tyłu wrażeń doznałeś?” „Wprost przeciwnie, bracie! Tak smacznie się wysypałem na twoim dramacie...”

Scenograf w spódnicy

O niej wyraził się dyrektor N.: „Prawdziwy talent w urzędowaniu SCEN.”

Na pewien teatr

Teatr młodzi się w małej, kameralnej sali. Mała scena. Niestety, i aktorzy mali.

W teatrze amatorskim

Fewien widz młodociany ze zdziwioną miną spostrzegł buty aktorów pod krótką kurtyną. „Ależ teatr nasz urósł! — pomyślał wyrostek. — Proszę, nawet kurtyna sięga mu do kostek...”

Na recytatora „Wielkiej Improwizacji”

Stał na estradzie. Głos jego senny kaleczył wiersze, w pół je przcinał. Nie był to Konrad w celi więziennej, był to po prostu — k r y m i n a l.

Nagrobek satyryka radiowego

Tu spoczywa satyryk. Nie skap łez, słuchacz! Wszak nieraz cię za życia pobudzał do płaczu...

POWIĘKSZENIA

KURTUAŻA

Maciej Karpiński w „Literaturze” recenzuje z zachwytem książkę Krzysztofa Mętraka: „Wspomnijmy na zakończenie o jednym jeszcze niezaprzecalnym walorze tej książki: o inteligencji”.

Wspomnijmy na zakończenie o jednym jeszcze niezaprzecalnym walorze tej recenzji: o kurtuazji.

WYWIAD

Inżynier-rolnik z którym „Życie Warszawy” przeprowadziło wywiad, zalecił dziennikarzowi z kim jeszcze powinien porozmawiać. Następnie wyraził wątpliwość, co do częstotliwości chodzenia do teatru dziennikarza.

Dziennikarz okazał się dobrze wychowany, polecenie przyrzekł wykonać, co do teatru wykroczył się małym dzieckiem. W kołach dobrze poinformowanych oczekuje się, że redaktor naczelny „Życia Warszawy” powinien zalecić podwładnym inżyniera, jakie mają stosować metody hodowli i upraw.

PRZETRWAŁ W LONDYNIE

Eugeniusz Kudaj relacjonuje w „Expressie Ilustrowanym”, jak próbował przeżyć w Londynie, stosując się do rad publikowanych przez „Przekrój”. Okazuje się, że — cytujemy — „w Londynie, jak w każdej wielkiej metropolii, za wszystko trzeba po prostu płacić”. Tak więc dowiadujemy się — nie otrzymaliśmy reporter ani skrawków mięsa, ani resztek jarzyn, a zgłębionych jarzyn z targowisk postanowił nie zbierać. Zainteresowanych informujemy, że reporter „Expressu” już wrócił do kraju i czuje się dobrze.

WSPOMNIENIA KARIN STANEK

MOJA MATURA

A więc już nikt nie mógł mi dokuczyć, że nie mam maturo. nikt? Okazało się, że złośliwość ludzka nie zna granic. Po programie telewizyjnym „Tele-Echo”, w którym pani Irena Dziedzic zadała mi przed piosenką kilka pytań, przeczytałam w prasie: „... w telewizji Stanek bez zażenowania oświadczyła, że zdała maturę. Czy aby na pewno?”

Zamierzałam nawet autorowi tego artykułu wysłać odpis mojego świadectwa maturalnego, ale brakowało mi na to czasu.

Mam jeszcze jedno marzenie — chciałabym ukończyć studia. Wiem, że przeważnie wszystkie moje marzenia spełniają się, wkładam w to wprawdzie zawsze dużo pracy, nigdy nie mam szczęścia do łatwych zdobyczy — ale osiągam cel.

Chcę studiować języki obce na Uniwersytecie Warszawskim. Niestety, są to studia wyłącznie stacjonarne, a więc musiałabym mieszkać w Warszawie, no i, co najważniejsze, mieć tam stałą pracę. W tej chwili jeszcze jest to niemożliwe, ale ja umiem czekać, nauczyłam się być cierpliwą i wiem, że prędzej czy później ukończę wybrany przez mnie kierunek.

Własną płytę długogrającą posiadają tylko jedni — przywieziona z tournée po Stanach Zjednoczonych. Jest mi bardzo przykro, że przez tyle lat nikt nie затroszczył się o to, aby na-

grać mój longplay w kraju. No, co, nigdy nie miałam szczerze mi oddanego menagera, który by właściwie pokierował moimi sprawami zawodowymi i nie mam go do tej pory.

Tak, zdaje sobie sprawę z tego, ilu mam przeciwników. Główny atut każdego z nich przeciwko mnie — to zła dykcja. Moi wszyscy rozmówcy dziwią się, dlaczego tak jest, skoro prywatnie tego zupełnie nie słychać. Ja wiem dlaczego. Na estradzie jestem jak w transie — śpiewam, tańczę, bawię się i zapominam o dykcji. Znam swoje błędy, ale ktoś ich nie posiada? — przecież chyba nie tylko o to przede wszystkim chodzi.

Lubiłam zawsze poezję, toś czytala ją z prawdziwą przyjemnością. A poza tym naprawdę bardzo chciałam nauczyć się prawidłowo mówić, wystydziłam się, że nie potrafię. Ale już najbardziej rumieniłam się, gdy któryś z dziennikarzy zadawał mi pytania. Między innymi dlatego tak niechętnie udzielałam wywiadów i w sumie niewiele można było dowiedzieć się ode mnie.

Największą trudność sprawiało mi opanowanie „r”. Często zamknięta w swoim pokoju płakałam ze złości, że nie mogę sobie poradzić. Któregoś dnia właśnie znów ćwiczyłam, tak bardzo chciałam wreszcie dopiąć swego, aż nagle poczułam,

że języczek zaczyna mi drgać i słychać wyraźnie „r”. Byłam tak uradowana, że z tym „r” wybiegłam z pokoju i pedziłam do mojego kierownika, aby mu udowodnić, że już umiem. Ale to było daleko i nie zdążyłam — śmiał się okropnie ze mnie, potem i ja się śmiałam. Ale cieszyłam się. Po kilku dniach miałam już „r” opanowane.

Stefan Kisielewski w książce „Z muzycznej międzyepoki” napisał: „Z tą Karin, to też wybrała się rzeczy absurdalne: młoda, żywa jak iskra dziewczyna, świetnie śpiewająca polskie (właśnie) bezpretensjonalne, rzeczowe, żywotowo rytmiczne melodie stała się celem bombardowania dla wszelkiego rodzaju pomysłowych prasowych filozofów, którzy wciąż mają jej za złe, że nie jest tym, czym nie jest, i nie będzie tym, czym nie będzie. Nie święci garnki lepią — ani Chaplin, ani Chevalier, ani Aznavour, ani Armstrong nie chodzili do Konserwatorium (ja za to chodziłam i co z tego)”.

Publiczność lubi mnie, ja to czuję, a przykładów na to mam wiele. Kiedyś na przykład na koncercie w Łodzi w Filharmonii, tańczyłam jak szalona i w pewnym momencie spadł mi z nogi bucik — poleciał na widownię. Piosenkę skończyłam bez bucika, nie przerwałam, ale po swoim wyjściu poprosiłam o

zwrot mojej zguby. Długo czekałam i czekałam do dziś — bucik wsiąk, zabrał sobie widocznie ktoś na pamiętkę.

Inny dowód sympatii. W Jastrzębiej Górze znajduje się domek imieniem „Karin”, którego jedna ze ścian bocznych wyłożona jest kolorową mozaiką, przedstawiającą dziewczynę w spodniach z warkoczkami i gitarą. Właściciel tego domku przystał mi jego zdjęcie.

Któregoś dnia, po koncercie w Poznaniu, przyszło do mnie młode małżeństwo i poprosili o zdjęcie z autografem. Powiedział mi, że urodziła im się niedawno córeczka i przez ogromną sympatię dla mnie, dał jej na imię Karin.

Dostałam jeszcze kilka listów, w których pisali mi młodzi ludzie, że dali swoim córeczkom moje imię.

Ale najbardziej byłam zaskoczona, gdy któregoś dnia, po koncercie, w drzwiach mojego hotelowego pokoju, ujrzałam dwoje starsuszków. Było to małżeństwo, a każdy z nich liczył chyba około 70 lat. Mieszkałam wtedy chyba na trzecim czy czwartym piętrze, doszli więc do mnie bardzo zmęczeni. Zdziwiona — tak nieoczekiwaną wizytą, zaprosiłam ich do środka i zapytałam co spowodowało ich do mnie. Wytłumaczyli mi, że byli na moim koncercie i tak bardzo im się podobałam, że pragnęli osobiście złożyć mi swoje gratulacje. A ponieważ do garderoby nie dopuścił tłum szturmującej młodzieży, więc postanowili odnaleźć mnie w hotelu. Byłam wzruszona, mogłam przecież być ich wnuczką. Ugościłam ich jak mogłam najlepiej, w swoim skromnym, hotelowym pokoiku, a po wspólnym spędzeniu miłym wiecz-

rze, odwoziłam do domu. A więc tylko młodzież mnie lubi?

Kiedys otrzymałam w Kielcach od młodzieży laurkę. Tak jak to się robiło dawniej — przewiązaną wstążeczką z naklejonym moim zdjęciem i napisem: „Dla Karin Stanek — od Nastolatków z Kielc”. Wewnątrz laurki znajdował się wierszyk: „Nasze bożyszczko — Karin Stanek. Każdy mówi fajna babka. Już wiadomo kto to jest, wciąż twiście i szaleje, Oczywiście, że to ona. Dla big-beatu jest stworzona — zawsze na estradzie jest!”

Karin Stanek to Brigitte big-beatu.

Karin Stanek to bożyszczko nastolatków, dla nas gra oraz tańczy. Karin Stanek my woliemy od innych babek STU!”.

W 1968 r. „Czerwono-Czarni” wraz z solistami otrzymali zaproszenie na tournée po Związku Radzieckim. Na wyjazdy musieliśmy opracować zupełnie nowy program. Śpiewałam moje polskie piosenki, wybrałam te, które w ciągu kilku lat zdobyły się publiczność najbardziej. Chciałam zaśpiewać „Jimmy Joe”, ale chyba z uwagi na tytuł ta nie została zaakceptowana.

Pierwszy koncert, który daliśmy na terenie Związku Radzieckiego, był też w formie jakby przeglądu — przed komisją. Wpadło mi raptownie do głowy, że wprawdzie u nas w Polsce nie zezwolili mi śpiewać „Jimmy Joe”, ale tutaj mogę zaryzykować. Nie się przecież nie stanie, najwyżej nie zartwidzę. I nie mówiąc nic mojemu kierownikowi, na własną odpowiedzialność, kazalam zespołowi grać wstęp do „Jimmy Joe”. Zobaczyłam tylko w

kulisach przerażoną twarz mojego kierownika — i zaczęłam śpiewać. Komisja przyjęła piosenkę entuzjastycznie, jak chyba żadną inną. Po koncercie była narada, wbiega do nas przewodniczący tej komisji i do mojego kierownika:

— Pani Stanek śpiewała piosenkę, której nie ma w programie? Dlaczego?

— To pomyłka, ja bardzo przepraszam, wkraśli się błąd, to tylko dziś, więcej tej piosenki nie będzie — tłumaczył się wystraszony kierownik.

A tamtem rzecze na to:

— Co, nie będzie? Jak nie będzie „Jimmy Joe”, to nie kupuję programu wcale, proszę się zastanowić. Ta piosenka musi być w programie.

Już po pierwszym naszym koncercie w Kijowie mogę powiedzieć, że publiczność Związku Radzieckiego jest naprawdę cudowna. Obrzynie owacje, jakie otrzymałam po pierwszych piosenkach, zwielokrotniły się jeszcze, kiedy zakończyłam mój najmocniejszy „rock’n’rollowy numer, w którym wręcz szalałam — przedstawiałam mikrofon, pomagałam grać perkusistom i tańczyłam zaplątana w kabale. To było chyba dla tamtejszej publiczności coś zupełnie nowego, bo przyglądali mi się z ogromnym zdziwieniem.

Latem 1969 roku, jak zwykle już od 1 lipca bawilam z uśmiechem publiczność, ale czułam, że już chyba ostatni raz z moim zespołem. Atmosfera, która już od dawna w zespole nie była najlepsza, pogarszała się z dnia na dzień.

Oprac.

A. KRYSZKIEWICZ